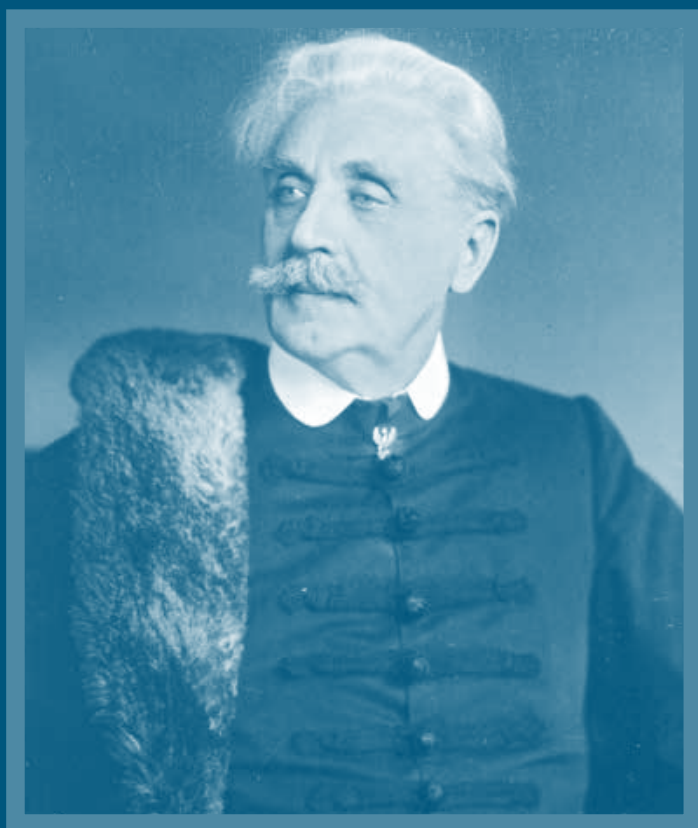


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2

(91) 2018

O Janie Sas-Zubrzyckim pisze Stanisław Dziedzic ♦
Sławomir Gowin o romansie Kallimacha we Lwowie
♦ Anna Stengl rozmawia z paniami Emilią i Zofią
Fedyk ♦ Wiersze Włodzimierza Lewika ♦ Postać
Wilhelma Feldmana przypomina Maria Mazur-Podraza

Zanim wakacyjne lenistwo nas ogarnie...

Dzisiaj portale internetowe przekazały informację, że nieznani sprawcy zniszczyli we Lwowie tablicę upamiętniającą miejsce narodzin znamenitego kompozytora Wojciecha Kilara. Jak pokazują fotografie, w prymitywny sposób, jakimś łomem, usiłowano podważyć i zdjąć tablicę. Gdyby coś takiego wydarzyło się u nas, dewastatorów szukalibyśmy wśród „złomiarzy”. Czy we Lwowie sprzedając złom można zarobić? Nie wiem... Zaszokowała mnie też informacja o pogromie romskiego obozowiska we Lwowie. Zginął człowiek, kilku innych z ranami kłutymi przeżyło – pewnie trafili do szpitali. Zdarzeniem zainteresowała się Rada Europy, potępiając zbrodnię i domagając się ukarania winnych. W tym przypadku nikt nie ukrywa, że dokonała tego grupa nacjonalistycznej młodzieży. A w Polsce – podają media – oficjalnie pracuje już ponad milion Ukraińców... Ilu przebywa i pracuje „na czarno” – tego pewnie nikt nie wie i nie kontroluje. Medialna atmosfera zagęszcza się na każdym kroku. Coraz trudniej przejść przez mijający czas nie ubrukawszy się politycznie. Skaza polityki dosięga nas wszędzie – już historia i literatura bywają tematami niebezpiecznymi. Coraz mniej na mapie miejsc, gdzie – jak napisał poeta – kończy się asfalt, a zaczyna blues...

Mam nadzieję, że choć na kilka godzin dzięki lekturze nowego numeru „Cracovia–Leopolis” uda się Szanownym Czytelnikom spojrzeć na problemy prezentowane na łamach naszego pisma z zainteresowaniem i spokojem. Wierzmy, że nasze teksty nie wyprowadzą Państwa z równowagi, a będą inspiracją do poszukiwania opisywanych miejsc w Krakowie i Lwowie; zachęcą do znalezienia dodatkowej lektury, by zgłębić zarysowane tu problemy. Choćby tekst o Janie Sas-Zubrzyckim pióra Stanisława Dziedzica na kanwie książki Jerzego Wowczaka poświęconej temu architektowi – tak ważnemu dla Krakowa i Lwowa. Jestem przekonany, że po lekturze tekstu Sławomira Gowina na temat Kallimacha skierują Państwo swe zainteresowania ku dobie renesansu – czasom interesującym nie tylko w Europie Zachodniej, ale i we Lwowie, i w Krakowie. Nie omijamy tematów bolesnych – opowieść Zbigniewa Wawszczaka o zrujnowanym Zamku i rozkradzonej kolekcji dzieł sztuki Siemieńskich. Spotkają Państwo dwie przeurocze panie – siostry Emilę i Zofię Fedyk, które w rozmowie z panią Anną Stengl zgodziły się opowiedzieć o swym życiu. Piórem Marii Mazur-Prokopiuk wspomniany literata, historyka i krytyka literatury Wilhelma Feldmana. No i w końcu literatura, do której zawsze przykładamy wagę. Tym razem prezentujemy kilka wierszy lwowskiego poety Włodzimierza Lewika (wyboru utworów dokonała Karolina Grodziska) i przywołany przez Krystynę Stafińską fragment zwierzeń Karoliny Lanckorońskiej z jej książki *Wspomnienia wojenne*, której już drugie wydanie trafiło do czytelników dzięki krakowskiemu Wydawnictwu Znak. A na zakończenie, by wzbudzić Państwa uśmiech – prezentujemy *Hymn zawiany na cześć Diany* autorstwa Sławomira Gowina.

Życząc miłej lektury, czekamy na Państwa opinie i teksty. Wszak bez Was – Czytelników – nasza praca mijałaby się z celem.

Janusz M. Paluch

Stanisław Dziedzic

W kręgu „nadwiślańskiej” estetyki architektonicznej

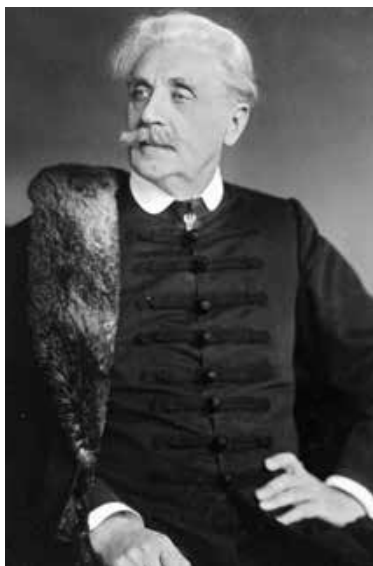
Nakładem krakowskiej oficyny Towarzystwa Wydawniczego Historia Jagellonica ukazała się końcem roku 2017 książka Jerzego Wowczaka *Jan Sas-Zubrzycki*. Merytoryczna nośność obszernego, świetnie skrojonego kompozycyjnie naukowego wywodu stawia książkę Jerzego Wowczaka wśród cennych, fachowo udokumentowanych ikonograficznie i źródłowo monografii wybitnych architektów, którzy jeszcze wówczas znakomicie łączyli umiejętności konstrukcyjne z funkcjonalnością i powabem estetycznej elegancji. Gatunku dziś nader rzadkiego, niestety. Książka jest skróconą wersją rozprawy doktorskiej Wowczaka, napisanej pod kierunkiem dr. hab. Andrzeja Szczerskiego i obronionej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Uchonorowana została przez Bibliotekę Kraków w maju 2017 roku Nagrodą Krakowska Książka Miesiąca.

Jan Sas-Zubrzycki – stwierdza na wstępie Jerzy Wowczak – to jest jeden z największych polskich architektów końca XIX stulecia, znany jako twórca 129 kościołów w Małopolsce, Świętokrzyskim, na Podolu, postać związana ze Lwowem i z Krakowem czasów Galicji i okresu międzywojennego. Był „człowiekiem renesansu”: nie ograniczał się do działalności architektonicznej, opublikował kilkadziesiąt książek i kilkaset artykułów. (...) Uczeń Juliana Zachariewicza, jako profesor wykształcił na lwowskiej politechnice pokolenie architektów, które wprowadziło w życie idee modernizmu. W swoich rozlicznych zawodowych

poczynaniach zaskakiwał po wielokroć skalą inwencji, zwłaszcza w odniesieniu do detali architektonicznych i pietyzmu w ujęciu elementów zdobniczych, kiedy indziej w kreowaniu śmiałych, monumentalnych rozstrzygnięć konstrukcyjnych.

Pojmował architekturę jako ważny czynnik kształtowania świadomości i tożsamości narodowej Polaków pozbawionych własnej państwowości. W roku 1905 odciął się programowo od nowych prądów w sztuce, głównie od secesji i młodopolskiej idei „sztuki dla sztuki”. Przecistawiając się tak pojętym nowościom, w tym wielu akcentom modernizmu, modnego naówczas i popularnego, stał się Zubrzycki celem ataków płynących nie tylko ze środowiska architektonicznego. Postrzegano w nim, w jego projektach oraz teoretycznych wywodach w tym względzie, czołowego i bodaj najbardziej radykalnego obrońcę historyzmu – w dobie tak wyrazistych przemian w architekturze, opieranych na nowych technologiach i koncepcjach urbanistycznych.

Jan Sas-Zubrzycki urodził się w Tłustem na Podolu w 1860 roku z ojca Marcelego Zubrzyckiego i Wiktorii Gertrudy z d. Zubrzyckiej, pochodzących ze szlachty polskiej o bogatych tradycjach niepodległościowych. Przodkowie wnieśli do rodzinnej pamięci żywe wciąż wspomnienia o udziale w kampanii napoleońskiej, w powstaniu listopadowym, w Wiośnie Ludów. Osobowość ojca, człowieka pracowitego, o wysokich walorach etycznych, gorącego patrioty, miała znaczą-



Jan Sas-Zubrzycki



cy wpływ na poczynania dzieci, przywiązanych do romantycznej tradycji walk niepodległościowych i do wartości religijnych.

W latach 1880–1885 studiował w Szkole Politechnicznej we Lwowie, jedynej naówczas uczelni technicznej funkcjonującej na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Ze Lwowem też związał pierwsze lata swojego dorosłego życia. Po śmierci ojca (1880), wobec trudnej sytuacji finansowej rodziny, zmuszony był poszukiwać możliwości zarobkowania m.in. w biurze architekta Antoniego Świątkowskiego, a następnie Adolfa Minasiewicza. Z tego okresu pochodzi jego debiutancka książka *Styl starochrześcijański* (1884) wykonana... odręcznie. Musiał już w czasie studiów politechnicznych wyróżniać się zdolnościami plastycznymi, biegłością warsztatową i skrupulatnością, skoro zlecono mu dokonanie inwentaryzacji słynnej lwowskiej cerkwi Wołoskiej. Jeszcze przed ukończeniem studiów podjął pracę nad kolejną książką *Sztuka średniowiecza podług dzieł niemieckich, francuskich i angielskich*, która ukazała się drukiem w 1886 roku. Jan Zubrzycki po ukończeniu studiów z dniem 1 maja 1885 roku otrzymał w macierzystej uczelni posadę asystenta u prof. Juliana Zachariewicza w Katedrze Budownictwa Lądowego. Karierę akademicką od początku łączył z samodzielną praktyką architektoniczną.

Wiosną 1886 r. Zubrzycki przeniósł się do Krakowa, z którym związał się zawodowo: w krakowskim magistracie najpierw był asystentem budowniczego dla oddziału robót gminnych budownictwa miejskiego,

a następnie – w latach 1900–1912 – inspektorem budownictwa miejskiego. W 1890 r. uzyskał uprawnienia inżyniera cywilnego, a w 1889 – architekta cywilnego. Jesienią 1886 r. we Lwowie poślubił Lucję z Olewińskich, która zmarła w lutym 1890 r., osierocając ich syna Ludomira Marcelęgo (zmarł przedwcześnie w 1909 r.). Owdowiały Jan Zubrzycki ożenił

się ponownie w 1891 r. z siostrą zmarłej żony Julią (z tego związku urodziła się w 1893 r. córka Julia).

Już w kilka miesięcy po przybyciu do Krakowa i podjęciu pracy w magistracie otrzymał ważne zlecenie opracowania projektu kościoła parafialnego pw. św. Bartłomieja dla Szczurowej koło Brzeska. Projekt, a następnie realizacja sporych rozmiarów trójnawowej bazyliki, z transeptem i dwoma bliźniaczymi wieżami przy fasadzie, zapoczątkował jego liczne dokonania w zakresie obiektów sakralnych. Kościoł w Szczurowej, neogotycki, nawiązywał w sposób konsekwentny do gotyku krakowskiego. Zubrzycki nadzorował jego budowę, projektował też do niego neogotyckie drewniane ołtarze, konfesjonały, ławki, ambonę.

Popularnością rychło dorównał uznanym i najbardziej wziętym architektom krakowskim i lwowskim. Miał ten niespełna trzydziestoletni architekt coraz bardziej ugruntowaną pozycję znakomitego rysownika. Jego talent w tym zakresie dostrzegł konserwator zabytków Stanisław Tomkiewicz, który zlecił mu wykonanie rysunków inwentaryzacyjnych (tzw. zdjęcia architektoniczne) 170 zabytkowych obiektów z terenu Krakowa. Mieszkając i pracując zawodowo w Krakowie, utrzymywał bliskie kontakty ze Lwowem. Uczestniczył w konkursie na gmach galicyjskiej Kasy Oszczędnościowej (projekt nie został przyjęty do realizacji), w samym Krakowie realizowane były jego projekty kamienic, m.in. dwóch kamienic radcy Ludwika Turnaua, dwupiętrowe koszary przy ul. Siemiradzkiego, w dobrach Jana Tarnowskiego.

W Trześni koło Tarnobrzegu zbudowano wg jego projektu okazały trójnawowy kościół z transeptem i wyniosłą, strzelistą wieżą. W 1891 r. ukazała się w Krakowie bogato ilustrowana książka Zubrzyckiego z zakresu historii architektury *Bazyliki średniowieczne w układzie rzutów poziomych*, a w roku następnym do najlepszych jego realizacji projektowych zapisał się kościół parafialny w Błażowej koło Rzeszowa. Był ten kościół świątynią o cechach budowli monumentalnych: trójnawową bazyliką o cechach konstrukcyjnych znanych z krakowskich kościołów gotyckich, z nawą poprzeczną i ambitem. Zubrzycki zaprojektował także do tej świątyni ołtarz główny, stalle, chrzcielnicę, prospekt organowy i Boży Grób.

Spśród projektów zrealizowanych w następnych latach wymienić warto kościoły w Trześniowie, św. Andrzeja w Ciężkowicach, św. Prokopa w Jadownikach, św. Marii Magdaleny w Głogoczowie, św. Michała w Cieklinie oraz rozbudowane bądź przebudowane kościoły Bożego Miłosierdzia przy ul. Felicjanek/Smoleńsku w Krakowie wraz z przylegającym domem prebendarza czy Narodzenia NMP w Myślenicach. W tychże Myślenicach wg jego projektu zbudowano okazałe dwa budynki: dom burmistrza i siedzibę władz powiatowych, a w Jordanowie – ratusz. Kilka kamienic z końca XIX w. zbudował w Krakowie (w tym jego dom własny oraz przylegający do niego dom brata – przy ul. Kilińskiego, obecnie al. Słowackiego).

Kiedy jesienią 1894 r. lwowska Szkoła Politechniczna ogłosiła konkurs na stanowisko docenta historii architektury, Jan Sas-Zubrzycki wyraził zainteresowanie przystąpieniem do postępowania konkursowego. W ramach procedury konkursowej wygłosił wykład habilitacyjny *Rozwój gotycyzmu w Polsce pod względem konstrukcyjnym i estetycznym*. W następstwie wygranego konkursu otrzymał docenturę prywatną z możliwością prowadzenia wykładów zleconych. W styczniu 1896 r. wiedeńskie Ministerstwo Wyznań i Oświecenia zatwierdziło habilitację. Odtąd Zubrzycki coraz wyraziściej będzie wiązał swoje życiowe plany ze Lwowem, choć w Krakowie pozostał do roku 1912.

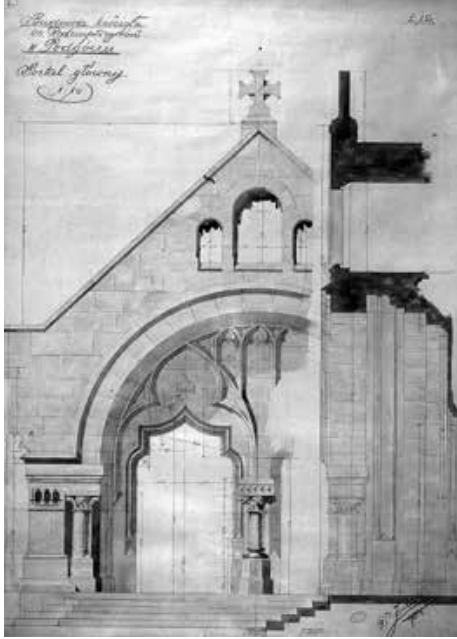
W Krakowie, obok pracy zawodowej, uczestniczył w konkursach architektonicznych, w 1898 r. został członkiem redakcji „Czasopisma Technicznego”, wraz z sio-

strą Jadwigą Strokową założył Towarzystwo „Gwiazda” i został jego pierwszym prezesem, w 1900 r. wszedł do redakcji „Architekta”, w tym samym roku otrzymał zaszczytny tytuł starszego inspektora w krakowskim Urzędzie Budownictwa Miejskiego, który był zwieńczeniem jego urzędniczej kariery.

Następne kilka lat były dla Zubrzyckiego czasem wielkich dokonań – znaczących w jego zawodowej karierze i wielostronnych. Z tego okresu pochodzi obszerny artykuł poświęcony cerkwi Wołoskiej we Lwowie i monografia Żółkwi – pierwsza w jego dorobku naukowym monografia miasta, oparta na materiałach źródłowych z cennymi, przez niego samego wykonanymi rysunkami inwentaryzacyjnymi zabytków. Szczególnie ważnym, ale przede wszystkim trudnym wyzwaniem było prowadzenie budowy monumentalnego zakładu edukacyjnego salezjanów w Oświęcimiu, w oparciu o projekt włoskiego architekta Mario Ceradiniego. Wobec poważnych problemów konstrukcyjnych i zagrożonej statyki gmachów, m.in. wskutek słabego, rozwarstwowionego podłoża, Zubrzycki zmuszony był, w porozumieniu z projektantem i Sławomirem Odrzywolskim, sprawującym nadzór konserwatorski nad rozbudową obiektu, podejmować śmiało i odpowiedzialnie decyzje służące zabez-



Projekt kościoła parafialnego w Podgórzu



pieczeniu statyki budowli i dostosowaniu do polskich warunków termicznych.

W 1902 r. w Szkole Politechnicznej we Lwowie Jan Sas-Zubrzycki uzyskał doktorat nauk technicznych w oparciu o rozprawę *Krakowska szkoła architektoniczna XIV wieku*. Dysertacja ta i liczne inne publikacje, nade wszystko zaś wspomniana już „filozofia architektury” były zasadniczym oparciem merytorycznym dla Zubrzyckiego – architekta, twórcy systemu opartego na rodzimych przesłaniach, historyzmu, aliści pojmowanego nie tylko odtwórczo, z otwarciem na zamysły nowe.

Zubrzycki nie uczestniczył w konkursie na projekt kościoła św. Elżbiety we Lwowie, ogłoszonym w 1903 roku. W regulaminie konkursu oczekiwano form „romańsko-gotyckich”, z którymi tak często się mierzył. Być może zadecydowały o tym rozliczne podjęte zobowiązania, a może jakieś inne, nieznanne powody, np. liczne niepowodzenia związane z konkursami. Monumentalny kościół św. Elżbiety w takim stylu przejściowym, ale z dominacją neogotyku, powstał wg projektu Teodora Talowskiego. Do ważniejszych obiektów, które projektował naówczas i w następnych latach, należały: kościół Wniebowzięcia NMP w Bruśniku, kościół parafialny św. św. Piotra i Pawła w Porębie Radlnej,

kościół Trójcy Świętej w Jordanowie, gmach Kasy Oszczędności w Ropczycach, gmach sądu w Myślenicach, kościół i klasztor Misjonarzy w Tarnowie, przebudowa kościoła oo. Dominikanów w Czortkowie, przebudowa kościoła św. Mikołaja w Bochni, kościół św. Jana Chrzciciela w Sokołowie Małopolskim, kościół św. Wawrzyńca w Kreczy Dolnej, kościół Narodzenia NMP w Borzęcinie, kościół św. Marii Magdaleny w Szczepanowie, przebudowa klasztoru oo. Bernardynów w Krakowie, kościół św. Anny w Tłustem, kościół Salwatorianów w Trzebini, dom „Sokoła” w Brzozowie, kościół św. Stanisława w Lubatowej.

W 1907 r. ukazał się pierwszy tom *Skarbow architektury w Polsce*, a ostatni – czwarty tom, w latach 1913–1916. Było to dzieło dla ówczesnego stanu badań nad historią architektury polskiej trudne do przecenienia. Całość zawierała ok. 400 tablic ze zdjęciami, rysunkami i rycinami przedstawiającymi najcenniejsze i najstarsze zabytki architektury polskiej. Dzieło to będzie miało charakter fundamentalny dla współczesnych i późniejszych badaczy, cieszyć się będzie zasłużonym rozgłosem.

W 1908 r., w związku z planami przebudowy kościoła farnego w Rzeszowie, doszło do skłócenia Zubrzyckiego z konserwatorami, którzy nie aprobowali przedstawionego przez niego projektu, utrzymanego w duchu gotyku nadwiślańskiego. Nie był to jedyny projekt, którym zaskoczył w tym czasie Jan Sas-Zubrzycki. Rozbudowa klasztornej kościoła oo. Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej miała nastąpić z inicjatywy bernardynów, wobec znaczącego rozwoju ruchu pielgrzymkowego. Kościół miał ulec aż trzykrotnemu powiększeniu, z wykorzystaniem dotychczasowej świątyni. Miała być ona włączona do nowej struktury budowli jako nawa poprzeczna, z zachowanymi prawie w całości trzema elewacjami, w tym dwuwieżową elewacją główną. Na skrzyżowaniu naw podłużnych i nowego transeptu zaprojektował potężną kopułę, znacznie przewyższającą cały kompleks klasztorny. Ta koncepcja, nawiązująca do manierystycznej oraz barokowej stylistyki kościoła i klasztoru kalwaryjskiego, nie zyskała aprobaty i powściągnięta, jako nazbyt śmiała, podobnie stanowisko zajęli konserwatorzy, projekt zatem nie doczekał się realizacji.

W ostatnich latach „krakowskich” Zubrzyckiego pojawiły się w niektórych kręgach konserwatorskich oraz urbanistycznych zastrzeżenia, jakoby Zubrzycki sprzyjał likwidacji starego budownictwa, zwłaszcza drewnianych kościołów, w miejsce których miały powstawać nowe, zarzucano mu nawet indywidualne motywacje w tym względzie. Jego publikacje, głównie na łamach „Dwutygodnika Katechetycznego i Duszpasterskiego”, osiągnęły efekty przez autora niezamierzone i zadecydowały w wielu kręgach historyków sztuki i konserwatorów o wypaczeniu intencji Zubrzyckiego i w konsekwencji – ostracyzmie środowiska. Podczas I Zjazdu Miłośników Zabytków w Krakowie w lipcu 1911 roku krytyce poddana została także teoria stylu nadwiślańskiego.

Do utrwalenia tej „czarnej legendy” Jana Zubrzyckiego przyczynił się końcem XX wieku zasłużony krakowski historyk sztuki i dokumentalista kultury materialnej Polski, Tadeusz Chrzanowski, który wytykał Zubrzyckiemu praktyki nieetycznych zachowań w tym zakresie.

Jan Karol Zubrzycki – stwierdzał Tadeusz Chrzanowski – zdolny twórca, interesujący, choć czasem na granicy nacjonalistycznej paranoi balansujący teoretyk, zaprojektował na terenie tzw. Galicji dziesiątki (dosłownie) neogotyckich i innych neostylowych kościołów, co stało się z przeogromną stratą zasobów zabytkowych, bowiem jego „katedrom” ustępowały miejsca stare, przeważnie drewniane kościoły.

Jerzy Wowczak w swojej monografii o Janie Sas-Zubrzyckim podjął uzasadnioną polemikę z opiniami Tadeusza Chrzanowskiego, wskazując na wadliwie wyciągane wnioski, bo m.in. bez uwzględnienia chronologii zdarzeń czy indywidualnych rozstrzygnięć. Zubrzycki dostrzegał złożoność problemu w zastępowaniu starych cennych obiektów sakralnych, często drewnianych, nowymi. Sugerował scenariusze do przemyślenia, np. poprzez nadanie starym świątynom ubocznych funkcji. Choć w czasach współczesnych konserwatorzy i architekci zachowują w tym względzie więcej troski i pietyzmu dla zabytkowych obiektów, problem wyboru scenariusza w takich przypadkach jest wciąż żywy i nie ma bynajmniej charakteru jednostkowego, choć na pewno w mniejszej skali.



Portal kościoła w Ciężkowicach

Czy w istocie w przypadku programów architektonicznych Zubrzyckiego można dostrzec szowinizmu? Czy w tworzeniu owej „czarnej legendy” nie za dużo było skrajnych jakichś emocji, które zwiody znakomitego uczonego i niezwykłego człowieka, Tadeusza Chrzanowskiego, na obszary niedorzeczności? Wowczak w swojej książce analizuje te kwestie w szerokim kontekście merytorycznym, nie stroniąc od pewnych mielizn w myśleniu o historii architektury.

Zubrzycki uczestniczył w rozlicznych polemikach związanych z projektowaniem nowych obiektów, licznymi modernizacjami, w dyskusjach, które toczone były w kwestiach programowania tych prac, a które dzieliły środowisko i wzmagaly nieskrywane niechęci. Miał też w Krakowie powody do satysfakcji: w 1909 roku uroczystie poświęcony został kościół św. Józefa w Podgórzu, był zaangażowany w podejmowanie akcji o charakterze patriotycznym, nadzorował prace związane z budową pomnika Grunwaldzkiego. Wraz z siostrą Jadwigą wydał we Lwowie pierwszy tom *Katedr polskich*, dotyczący katedry gnieźnieńskiej, a w następnych latach – aż do 1918 r. – seria będzie kontynuowana przy zachowaniu imponującej oprawy graficznej. Podobny charakter będą miały nowe cykle, poświęcone

polskim zamkom. W 1909 r. na Zubrzyckiego spadnie dotkliwe nieszczęście: w wieku 21 lat zmarł jego syn Ludomir Marceli, pochodzący z pierwszego małżeństwa.

W latach 1910–1912 Zubrzycki prowadził zajęcia w Szkole Politechnicznej we Lwowie z form architektonicznych, zajmując miejsce zmarłego Teodora Talowskiego. Na wykłady dojeżdżał z Krakowa, gdzie do 1912 r. mieszkał na stałe. W 1912 r. rektor Politechniki powołał go na stanowisko profesora nadzwyczajnego przy nowo założonej Katedrze Historii Architektury i Estetyki. Zamieszkał odtąd wraz z rodziną we Lwowie i tam kontynuował prace badawcze, z niemałym zapałem prowadził działalność dydaktyczną. Profesorem zwyczajnym został w roku 1919, już w niepodległej Polsce. W związku z ukazaniem się *Stylu nadwiślańskiego* pojawiły się znów głosy krytyki, nie tylko w środowisku architektów. Zubrzycki zrezygnował z szerszych gruntownych badań naukowych o charakterze ściśle historycznym, tworząc dzieło pełne emocjonalnych wywodów, w oparciu o które proponował interpretację dziejów. Dzieło zostało inaczej odczytane, niektórzy, np. Adolf Szyszko-Bohusz na łamach „Architekta” nazwał je dyletanckim, doszukał się tam „szowinizmu narodowego w sztuce”. Następowala marginalizacja Zubrzyckiego. Po odrzuceniu projektu przebudowy kościoła w Bolechowicach, dotknięty tym Zubrzycki zerwał więzy łączące go ze środowiskiem krakowskim. Ale kontynuował prace projektowe także z obszaru Małopolski Zachodniej (drugi ratusz w Jordanowie, konwikt pijarów w podkrakowskich Rakowicach, kościół w Lubartowej, kościół w Ryglicach).

Wkrótce po przeprowadzce do Lwowa, w październiku 1912 r. otworzył biuro projektowe przy ul. Potockiego 6, a wiosną następnego roku zakupił dom w centrum miasta. Przemyslenia związane z podsumowaniem dotychczasowych dokonań z planami zawodowymi stały się probierzem rewizji poglądów i założeń teoretycznych. Zawarł je w trzyczęściowym dziele *Utwór kształtu. Nauka wstępna do znajomości stylów architektonicznych*, które ukazało się w latach 1912–1915, wzbudzając ogromne zainteresowanie.

Zubrzycki wkrótce po objęciu posady profesora nadzwyczajnego Politechniki



Wnętrze kościoła oo. Kapucynów na Zamarstynowie we Lwowie

(1912) podjął wykłady z historii architektury i estetyki, uczył projektowania w Katedrze Architektury, prowadził też popularne wykłady otwarte, pozauczelniane, poświęcone historii architektury polskiej. Na krótko przed wybuchem wojny światowej ukazała się nader znacząca w dorobku autora publikacja *Styl zygmunowski jako odcień sztuki odrodzenia w Polsce* – nie tyle podręcznik akademicki, co udokumentowany ideowy manifest, w którym Zubrzycki dał wyraz ewolucji poglądów na temat stylu narodowego.

Wybuch I wojny światowej spowodował zamknięcie uczelni i rozproszenie kadry profesorskiej. On sam z rodziną jesienią 1914 r. wędrował po Podkarpaciu, by w końcu dotrzeć do Wiednia, gdzie włączył się w działalność Komitetu Techników Polskich. Podjął prace nad książką *Polskie budownictwo drewniane*, a w 1915 r. na łamach „Wiedeńskiego Kuriera Polskiego”, w oparciu o przeprowadzone badania, dowodził, że najstarsza część katedry św. Szczepana została zbudowana przez Oktawiana Wolznera z Polski. W marcu 1915 r. stanął na czele powołanej właśnie Wiedeńskiej Komisji Odbudowy Miast i Wsi ze Zniszczeń Wojennych, powołanej przez Wydział Krajowy. Instytucja ta miała swoją strukturę terenową i skupiała fachowców o różnych orientacjach społecz-

nych i politycznych. Struktury Biura Odbudowy Kraju przetrwały do czasu odzyskania przez Polskę niepodległości. Zubrzycki, zaangażowany w dzieło odbudowy, dążył do standaryzacji, zrozumienia dla priorytetów budowlanych. Jesienią 1915 r. powrócił do Lwowa. W tym czasie na łamach „Przeglądu Technicznego” ukazało się omówienie jego publikacji, pióra Jana Piusa Dziekońskiego, który wymieniając kilka książek i artykułów Zubrzyckiego, podkreślał, iż *przedstawiają zjawisko niezwykle*, wspierając przy tym jego starania i dokonania w zakresie zdefiniowania odrębności polskiej architektury.

Jan Sas-Zubrzycki jesienią 1916 roku został prezesem utworzonego właśnie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Sztuki i Kultury, które powstało we Lwowie staraniem Stanisława Zarewicza, dyrektora tamtejszego Muzeum Przemysłowego. Zasadniczym celem Towarzystwa w warunkach wojennych, w czasach powszechnego wandalizmu, wywozu za granicę i kradzieży zabytków ruchomych, było wyszukiwanie i dokumentowanie tych zabytków mających znaczenie dla polskiego dziedzictwa kulturowego i związanych z historią Polski.

Nie zaprzestał działalności projektowej ani obowiązków związanych z nadzorem realizacyjnym, związanych z budową i urządzeniem projektowanych przez niego obiektów. Z tego wojennego i powojennego okresu pochodzą projekty m.in. kościoła Wniebowzięcia w Wietrzychowicach, kościoła św. Anny w Niewodnej, neorenesansowego kościoła Kapucynów wraz z przylegającym klasztorem na Zamarstynowie we Lwowie, cerkwi w Tłustem, kościoła św. Katarzyny w Ryglicach, kaplicy zakładu szkolno-wychowawczego Michalitów w Miejscu Piastowym, kościoła Przemienienia Pańskiego w Masłowie czy kościoła św. Anny w Łapczycy. Ważnym przedsięwzięciem projektowym była próba odbudowy Wielkich Oczu, miasteczka w okolicach Lubaczowa, zniszczonego podczas działań wojennych w czerwcu 1915 r. Jan Sas Zubrzycki opracował projekty licznych obiektów, w większości niezrealizowanych (zachowała się piętrowa synagoga i wiejska chałupa).

Odkrycie przez Adolfa Szyszko-Bohusza rotundy Najświętszej Marii Panny na Wawelu (1917) uznał Zubrzycki za ilustrację własnej tezy, że budowle na planie centralnym

były charakterystyczne dla Słowiańszczyzny, a stamtąd trafiły do Rzymu za pośrednictwem cesarza Konstantyna Wielkiego, urodzonego w Niszu (ob. Serbia), na ziemiach słowiańskich.

W odrodzonej Polsce, gdy Zubrzyckiego działalność patriotyczna zyskała większe uznanie, podejmował on wiele prac ze zdwojonym zaangażowaniem. W Szkole Politechnicznej w nowym roku akademickim wybrany został na stanowisko dziekana Wydziału Architektury. Funkcję tę oraz kierownictwo Katedrą Architektury II pełnił do roku 1920. Poza działalnością akademicką, z racji piastowanych funkcji, wyczerpującą i czasochłonną, włączył się Zubrzycki w liczne poczynania na rzecz odbudowy kraju zniszczonego wojną. Zubrzycki projektując odbudowę całych miejscowości wykazywał się umiejętnościami urbanistycznymi. Wiele starań i wysiłku włożył w reformowanie Wydziału Architektury, odparował ataki i głosy krytyki odnośnie do preferowanych przez niego koncepcji modernizacji zabytkowych obiektów.

W 1925 r., wśród licznych pomniejszych rozmiarami publikacji, pojawił się cykl kilkunastu artykułów poświęcony zamkom podolskim, zamieszczanych na łamach „Przewodnika Katolickiego”, zapoczątkowany Krasieczynem, a zamknięty Okopami Świętej Trójcy.

W ostatnim dziesięcioleciu Zubrzycki otrzymywał mniej zamówień na projekty architektoniczne i nadzorów nad ich realizacją, więcej podejmował prac badawczych, na ogół pomniejszych, publikował sporo artykułów, głównie z zakresu historii architektury, sztuk pięknych, tradycji religijnych i ludowych w kulturze polskiej. Wachlarz jego zainteresowań był nader imponujący. Od 1920 roku, po osiągnięciu wieku emerytalnego (choć minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przeniósł go w stan spoczynku dopiero we wrześniu 1929 roku) więcej czasu poświęcał na finalizowanie badań i publikacji, często przed laty rozpoczętych, teraz kończonych. W 1928 r. na łamach „Czasopisma Technicznego” ukazał się przewodnik *Zabytki miasta Lwowa*, ilustrowany jego autorskimi rysunkami, niektórymi sprzed wielu lat (w tym samym roku przedruk przewodnika urzeczywistnił się jako samodzielna pozycja).



Po przejściu na emeryturę – w uznaniu zasług *na polu pracy artystycznej, naukowej i pedagogicznej* – odznaczony został przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

W 1930 roku podjął wyzwanie projektowe, które w jego dotychczasowym dorobku miało charakter stosunkowo odosobniony, dotyczące zespołu klasztorowego sióstr albertynek na krakowskim Czerwonym Prądniku. Kompleks ten, o powierzchni kilku hektarów, obejmował budynki o różnym przeznaczeniu i formie konstrukcji: dom sióstr, księżówkę, dom opieki, spichlerz, dom gospodarzy, wozownię, stajnie.

Architekt – pisze Jerzy Wowczak – urzęczywił własne postulaty kontynuacji polskiego budownictwa drewnianego: zaprojektował obszerne częściowo drewniane, a częściowo murowane budynki z detalem ciesielskim i podwójnym dwudziałem słupów, dobudowanych do ścian przytępów. O rodzimym charakterze budynków decydują ornamenty (np. podhalańskie słoneczko) i rozwiązania konstrukcyjne (czworokątna sygnaturka ustawiona diagonalnie na osi dachu w domu zakonnym. Dom zakonnym

powstał na planie prostokąta, jego dolna kondygnacja jest murowana, dwie górne wykonano z drewna przykrywając dwuspadowym dachem naczółkowym...

Prowadził w tym czasie prace projektowe i nadzorcze nad rekonstrukcją piwnic w Domu Arcybiskupim w Rynku 9 we Lwowie. W 1930 r. opublikował trzy ważne w jego dorobku broszury: *Cieślictwo polskie*, *Różaniec wspomnień rodzinnych* oraz *Dwa zamki polskie w Malborku*. W pierwszej z nich ponownie dowodził tezy o odrębności polskiej tradycji budowlanej, znakomicie zilustrowanej wzornikami. Także w broszurze o zamkach malborskich powrócił Zubrzycki do podejmowanej przez niego wielokrotnie polemiki z tezami o wyższości cywilizacji germańskiej nad słowiańską. Autor podkreślał, że w malborskim zamku istniały sklepienia piastowskie, wskazuje słowiańskie wpływy konstrukcyjne, detale czy symbole. W *Różaniecu wspomnień rodzinnych* snuł opowieść o losach rodziny Zubrzyckich i ich służbie dla Polski.

Zubrzycki, mimo sędziwego wieku, który ograniczał jego poczynania, był społecznie wciąż czynny, m.in. w kwietniu 1930 r. został biegłym sądowym w sprawach sztuk plastycznych Sądu Apelacyjnego we Lwowie, w tymże roku został członkiem Związku Obrońców Kresów Zachodnich we Lwowie. W artykułach *Polska drewniana* i *Sposób zakopiański*, a także w dyskusjach natenczas toczonych zachowywał dystans wobec stylu „zakopiańskiego”, stworzonego przez Stanisława Witkiewicza, ale widział w nim drogę do rozwoju regionalizmu, z nadzieją że idea ta stanie się podstawą stylu narodowego.

Jan Sas-Zubrzycki pozostawał czynny do końca swoich dni: przygotowywał kolejne projekty, sporo wciąż pisał, wygłaszał prelekcje, uczestniczył w publicznych dyskusjach.

Zmarł w wieku 75 lat w podlwowskich Brzuchowicach 4 sierpnia 1935 roku. Pochowany został we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim obok spoczywającej tam drugiej żony. Pogrzeb Jana Sas-Zubrzyckiego był publiczną manifestacją.

(fragmenty większej całości)

Serdecznie dziękujemy panu dr. Jerzemu Wowczakowi za udostępnienie materiału ilustracyjnego do tekstu. Red.

Sławomir Gowin

Lira w służbie Amora

Zdołał umknąć przed papieskim gniewem, wzbudził podziw najtęższych umysłów epoki, zdobył uznanie królów, uległ wdziękom lwowskiej szynkarki...

Mroczne widoki

W czasie śnieżnej i mroźnej zimy 1470 roku średniowieczny Lwów był senny, mroczny i milczący. Ulice wyludniały się po zachodzie słońca i czasem tylko latarnia nocnego stróża zachybotwała w gęstych ciemnościach. W drewnianych mieszczkańskich domach z rzadka migotał żar rozgrzanych palenisk, świece i łój oszczędzano, taniej było iść spać. Żółte płomyki majaczyły tylko w oknach Niskiego Zamku, nad którym unosił się Zamek Wysoki, tak odległy, że blask choćby najokazalszych lichtarzy nie zdołałby spłynąć stamtąd na miasto.

Za dnia krzątało się tutaj nie więcej niż kilkanaście tysięcy mieszkańców. Od paru pokoleń wznosili gród w jagiellońskim gotyku, a raczej wskrzeszali z popiołów, w które obrócił go wielki pożar z roku 1381. Mieścinnie wtulonej pomiędzy siedem wzgórz daleko było do średniowiecznej metropolii, ale ówczesni lwowianie mieli już gdzie prosić Boga, by ustrzegł ich przed kolejną pożogą i obdarzył lepszym losem. Działała katedra ormiańska, budowa łańciskiej dobiegała końca, w swoich gotyckich formach istniały kościoły Dominikanów i Franciszkanów. Od ponad pół wieku była tu siedziba arcybiskupstwa, którą przeniesiono z Halicza. Mieszczanie mogli zatem cieszyć się, że modlitw wysłuchano i wiele oczekiwać od najbliższej przyszłości. Nadzieje ich nie zawiodły, skoro w 1498 roku, a więc niespełna trzydzieści lat później, w tureckiej relacji czytamy, jak to Mołdawianie i Turcy *po kilku dniach drogi*

dosięgli miasta zabudowanego wspaniale, w zachwycającym położeniu, otoczonego mnóstwem ogrodów i sadów, które znajome jest pod nazwiskiem Illi [Lwów].

Ale póki co, trzy dekady przed końcem XV stulecia, mieszkańcy Lwowa w codziennym mozole nie rozpalali zanadto wyobraźni. Ich praktyczne dusze zaprzętały rzemiosło i handel, co nieco rozrywki dostarczały jarmarki i nieliczne karczmy. Grzechem rozdającym się w tych niewyszukanych warunkach z powodzeniem zarządzali miejscowi duchowni.

Zimą wąskie uliczki prowadziły szlakiem zamarzniętych rynsztoków w stronę miejskiego rynku, na którym stał niewielki drewniany ratusz. I właśnie tej zimy jedną z nich dreptał pewien Włoch, który przybywał tu z Rzymu po wielomiesięcznej tułaczce przez Grecję, Egipt, Trację i Macedonię. Spowita śniegami kraina wydała mu się zapewne tajemnicza i egzotyczna, jednak poza kontemplowaniem malowniczej bieli musiał jakoś tutaj żyć ze swoją południową naturą i cudzoziemskimi nawykami. Mroczne piwniczki pod lwowskim ratuszem nie przypominały gwarynych rzymskich winiarni, jednak krzepkie słowiańskie dziewczki, połyskujące blond warkoczami w poświacie łożowych kaganków, potrafiły obudzić w przyjeźdźnym nadzieję, że życie tutaj nie okaże się wcale takie złe.

Mimo to zimowy przybysz, stawiając pierwsze kroki na lwowskim bruku, nie mógł się spodziewać, że nie tylko *jakoś mu się ułoży*, ale właśnie tu przeżyje żarliwą namiętność, być może największą w życiu, która w dodatku podyktuje mu kilkadziesiąt płomiennych erotyków o wiekopomnym znaczeniu dla przyszłych pokoleń poetów tej północnej krainy.

Niewieści hetman

Wędrowiec nazywał się Filippo Buonaccorsi, choć w jego ojczyźnie lepiej znano go pod pseudonimem Kallimach. Był włoskim humanistą i poetą, miał trzydzieści trzy lata, niezłe wykształcenie, niemałe doświadczenie polityczne i jeszcze większe kłopoty, które przyznały go aż tutaj.

Zdrożony Włoch, poszukując w tym ośnieżonym grodzie wina lub czegoś, powiedzmy, temperamentnego, wybór miał niewielki. *W piwnicy pod ratuszem szyn-*



kują do syta win m o ł d a w s k i c h i greckiej małmazi, której beczki pieczętowane są lwią pieczęcią – pisał o ówczesnych biesiadach Stanisław Wasylewski. W 1387 roku wyszedł wilkierz, który stanowią, że we Lwowie nigdzie indziej nie wolno sprzedawać wina, tylko w piwnicach ratusza. Kiedy Filippo

suszył tu dzbany, od wydania tego prawa minęło wprawdzie osiemdziesiąt lat, ale można przypuszczać, że w 1470 roku ratuszowe piwnice zupełnie miastu wystarczały. Wino było drogie, a więc mało popularne, spowszednieć miało dopiero w następnym stuleciu, gdy pojawiły się nawet gatunki miejscowe. W źródłach powiada się o dwóch lwowskich kanoniach czerpiących w owym czasie zyski z jego produkcji i sprzedaży. W połowie XIX wieku karmelita Ignacy Chodyncki pisał, że *pierwszy raz do Lwowa sprowadzone z Mołdawii przez Niemców r.1433 latorośle winne, zaszczerpione były na wzgórzach przyległych koło Zamku Wysockiego, gdzie utrzymywały się dwieście lat przeszło, dopóki przez wojny rusko-moskiewskie nie zostały całkiem zniszczone.*

Jednak wino – własne czy importowane – mimo rozmaitych przeciwności zrobiło tu wielką karierę. Już o obyczajach XVI wieku Aleksander Brückner napisze, że *nigdzie tyle nie było handlowi winnych co we Lwowie.*

Na razie jednak lwowscy amatorzy wina musieli pijąc je w domach lub zmieścić się w piwnicach ratusza, gdzie bywali przede wszystkim liczni w mieście Włosi, których było na to stać. Dzięki temu możemy przypuszczać, gdzie swą lwowską przygodę zaczęła zziębnięty Filippo. Pomiędzy stołami ratuszowych piwnic uwiły się biało odziane dziewczęta z lwowskiego ludu, rzecz jasna zaradne i uczynne, nade wszystko zaś przyjmujące perlстым śmiechem fawory okazywane im w języku wprawdzie obcym, ale jakże pieszczotliwie brzmiącym.

Posada w winiarni, przy zamożnych gościach, nie była zajęciem dla byle posługaczki, dobierano je starannie. Dla szynkarza zaś poeta dopiero co przybyły z ekscytującej tułaczki, oblegany przez ciekawskich rodaków, był biesiadnikiem wartym specjalnej uwagi. Nic więc dziwnego, że samotny Włoch rychło docenił bogactwa północnych krain i zrymował swoiste lwowskie credo:

*Jako we Lwowie są dziewczki precudne,
A mieszczek lwowskich czar szeroko znany,
Przeto, gdy staną przy muzyce w tany,
Zda się tańcuje wieniec kwiatów złudny:
Znajdziesz tam róże i lilije, co wonią
Wzrok swój rozjaśniają i lico rozplonią...
– Choćbyś się w pancerz zakował rycerza,
Cypryjska Wenus, przemożna to pani!
W tanecznem kole cięciwą uderza
Amor, co sprawom niewieścim hetmani.
Więc z cudzoziemców niech każdy się
dowie,
Że Amor w służbie – u niewiast we Lwowie!*

Stanisław Wasylewski wierzył, że *równocześnie z narodzinami Lwowa średniowiecznego przypadają narodziny jego temperamentu.* U schyłku średniowiecza Kallimach, bynajmniej nie zaniedbując się w służbie lwowskiego Amora, obudził w nim temperament prawdziwie renesansowy.

Łaski i rozkosze

Filippo Buonaccorsi urodził się w 1437 roku w tokańskim San Gimignano w rodzinie bogatego kupca, obywatela weneckiego, który nie żałował grosza na kształcenie syna, zamierzając wychować go na wielkiego artystę. Chłopiec uczył się najpierw we Florencji, później w Wenecji, którą opuszczał już jako dobrze zapowiadający się poeta. Pisywał tam klasycznie stylizowane erotyki, inspirowane uczuciem do weneckiej piękności o imieniu Sylwia. W 25. roku życia spełniło się jego wielkie marzenie, trafił do Akademii Rzymskiej, której założyciel, słynny Giulio Pomponi Leto, będąc pod wrażeniem talentu młodzieńca, porównał go do największego poety epoki aleksandryjskiej i nazwał Kallimachem.

Wkrótce w Rzymie zaliczano go do intelektualnej elity, a godziwe dochody i rozległe koneksje w całej Italii zapewniała mu posada sekretarza potężnego wówczas kardynała Bartolomeo Roverelle. Weneckie i florenckie

obeznaniu z rosnącym w siłę humanizmem, nadwyzwyczajna umiejętność zawierania przyjaźni, a nade wszystko talent literacki zapowiadały niczym niezachwianą karierę.

Jednak Rzym ogarniał coraz gwałtowniejszy konflikt zwolenników papieżstwa z humanistami, spośród których wielu uważało, że przyszłość Italii to republika. W roku 1468 watykańscy stronnicy wykryli spisek, w wyniku którego papież Paweł II miał być pozbawiony władzy. Uważano, że Kallimach był jego uczestnikiem, a nawet przywódcą. Większość spiskowców została aresztowana, ale Buonaccorsi zdołał uciec z Rzymu i wciąż tropiony przez papieski wywiad, chroniąc się na Peloponezie, Krecie i Cyprze, poprzez Chios i Konstantynopol dotarł wreszcie do Polski.

We Lwowie zajął się nim krewny, florentryńczyk od dawna mieszkający w Polsce, protegowany Medyceuszy, Ainolf Thedaldi. Kallimach mógł tu odetchnąć, jego bogaty promotor był bowiem niekwestionowanym autorytetem nie tylko dla zyskującej coraz większe wpływy włoskiej kolonii we Lwowie, ale miał liczne znajomości w najwyższych kręgach władzy. To starania Thedaldiego sprawiły, że gdy papieski legat zażądał wydania poety, wsparcia zbiegowi udzielił sam król Kazimierz Jagiellończyk. Widoki na taki obrót wypadków wpłynęły zapewne na decyzję Kallimacha, by, nie zważając na północne niewygody, szukać schronienia pod polskim berłem. Ślepy, acz szczęśliwy los sprawił natomiast, że na początku jego polskiej kariery nie mniej ważna od królewskiej łaski okazała się na pozór pospolita znajomość z pewną dziewczką, która ochoczo pomogła mu *pozbyć się wspomnień dręczących o tak niesłusznym wygnaniu i przywrócić stracone siły duszy*.

Wiersze erotyczne i miłosne, które Kallimach kierował w Wenecji do tajemniczej Sylwii, wzorem elegików rzymskich sławiając ją niczym Lesbę, Cyntię czy Korynnę, były owszem, cenione przez akademików, kunsztowne i zręcznie zrymowane, zarazem jednak konwencjonalne i chłodne. Żarliwie namiętne, sycone szczerą intymnością były dopiero utwory rzucone do stóp jednej z *przecudnych dziewczek lwowskich*, która w ten sposób stała się bohaterką najbardziej twórczej przygody erotycznej schyłku średniowiecza.

Świątynia uczuć

Kim była dziewczyna, która tak zawróciła w głowie przybyszowi z dalekich krain? Nie wiadomo wiele ponad to, że Kallimach poznał ją w ratuszowych podziemiach, gdzie szynkowała gościom wino, i nazywał ją Fanią, Fanniolą albo Fannią Świętochą. Najczęściej twierdzono, że to rzymskie imię, które poeta sam nadał kochance dla zmylenia domysłów i *dla elegancji wiersza*. Ale inna, bardzo kusząca hipoteza powiada, że Kallimach znacząco przełożył imię Świętocha lub Świętochna, sięgając po łacińskie *fanum*, czyli *miejsce święte*, świątynia, w której składał swoje żądze i uczucia.

Uczynił ją patronką wielkiego cyklu wierszy zatytułowanego *Fannietum*. W 32 elegiach miłosnych i 28 epigramatach zacierał, gmatwał i wyprowadzał w pole wszelkie tropy, które mogłyby pomóc rozwiązać zagadkę Fannioli. Ale czy identyfikacja pięknej dziewczyny z lwowskiego pospólstwa jest w ogóle możliwa i potrzebna? Nie pisał przecież dla niej – Fania, o ile w ogóle byłaby piśmienna, to na pewno nie w łacinie. Nie mogła więc przeglądać się w jego wersach jak w lustrze kaprysząc przy tym, że niepodobna. Kallimach, pozostawiając ją dla potomnych tajemniczą szynkarką, która *rozdaje pocałunki za darmo, a wino za pieniądze*, uczynił z niej wszakże wiekopomny symbol. Nie szło mu przecie o zrymowanie erotycznego dzienniczka – targany namiętnością stworzył opowieść uniwersalną, ukazującą miłosne zauroczenie tyleż radosne, co mroczne i bolesne. Czyż i dzisiaj nie znalazłaby się lwowska dziewczyna, którą można opisać słowami, w jakich pięć i pół wieku temu robił to Kallimach w poetyckim liście do przyjaciela?

*Gdy pytasz, jaki włos zdobi jej głowę –
zmieszaj z lilią róże purpurowe.
Wdzięk, jaki barwy te obie zespoli,
Będzie połyskiem piersi Fannioli...*

Bohater Kallimacha doświadcza to rozkoszy, to udręki. Raz Fanniolę kocha, raz nienawidzi z zazdrości, krążąc wieczorami wokół jej domu i nasłuchując odgłosów rywala. W kolejnych wierszach gotów jest skazać ją na najokrutniejsze cierpienia, by po chwili wołać, że pragnie leżeć u jej stóp *z wyrwanym językiem podłym*, który ośmie-



lił się bluźnić przeciw wierności i cnocie ukochanej. Ulega wreszcie, nazwijmy to, pragmatyce uczuć, którą wyraża w pokornym życzeniu:

*Och, w opiece boskiej trwaj, wierna czy zdradliwa.
Pragnę cię, o Fanio, czułą choć zawodną,
Niżby złość moja gniewem bogów cię
okryła...*

Wszak najwyższą nawet miłosną gorączkę – bez względu na epokę – studzi w końcu refleksja, która podpowiada, że

*Tyle jest dobrych stron w miłości ile złych
Ten jest najbardziej szczęśliwy z kochanków,
kto zawsze umie radość i gorzki żal utaić
w sercu swym.*

Tak oto wybornie władająca językiem namiętności Fanniola zapanowała nad Kallimachową wyobraźnią. Była niezastąpiona jako towarzyszka biesiadnych rozrywek, radosna muza, zręczna figlarka w alkowianych potyczkach – słowem nic co ludzkie nie było jej obce, a jednak nie była wyrafinowaną humanistką. Nie mówiła po włosku, tym bardziej po łacinie, a więc z braku, że tak powiem, podstawowych instrumentów inte-

lekt kochanka nie był przedmiotem adoracji z jej strony. I Kallimach nie takich karesów spodziewał się od Świętochny, a artystyczne owoce ich żądz nie dla niej w gruncie rzeczy były przeznaczone.

Twierdza poezji

Utalentowany Włoch miał wokół siebie znamienite grono czcicieli swojej lutni. Najhojniejszym z nich był Thedaldi, najwybitniejszym zaś ówczesny arcybiskup lwowski Grzegorz z Sanoka, który szczęśliwie dla polskiej literatury znalazł się na szlaku rzymskiego zbiega, bo oto po ośmiu miesiącach spędzonych za przyzwoleniem króla we Lwowie, Kallimach i tutaj popadł w tarapaty. W październiku 1470 roku sejm w Piotrkowie uchwalił, że należy go wydać papieżowi. Aynolf Thedaldi zwrócił się wtedy o pomoc do wielmożnego arcybiskupa. Trudno było o lepszego protektora dla ukrywającego się poety.

Grzegorz z Sanoka, jedna z najtęższych głów przyozdobionych kiedykolwiek arcybiskupią sakrą, był kimś znacznie więcej niż kościelnym hierarchą. *Gdyby Grecja lub Italia wydała na świat podobnego, czciłaby jakby swoją gwiazdę i chlubę* – napisze później Kallimach. Ten bywały i wykształcony we Włoszech znawca i admirał Bocaccia był jednym z pierwszych Polaków, którzy po 1450 r. przynieśli do kraju humanistyczny styl myślenia i życia. Powiadano, że Grzegorz z Sanoka był w tym czasie *wytworem i kwiatem humanizmu*.

Zdobył sławę jako odważny reformator, filantrop, prawdziwy arystokrata ducha, w dodatku wywodzący się ze stanu mieszczaczańskiego. W tej części kraju powszechnie uznawano jego autorytet. Kiedy brał pod opiekę Kallimacha, głową lwowskiego kościoła był już blisko dwadzieścia lat, niełatwo było zachwiać jego pozycję, mógł podjąć ryzyko obejścia sejmowej uchwały broniąc swojej decyzji zarówno politycznie, jak również, gdyby zaszła taka potrzeba, całkiem dosłownie, bowiem dwór arcybiskupi ulokował w podlwowskim Dunajowie. *Wzniósł tam zamek, a następnie głębokim rowem i wałem obwarował pozostałą część miasta* – pisał Kallimach. – *Nadto porozstawiał na zamku i w basztach bardzo wiele najrozmaitszych machin wyrzucających głazy, jako też wielką ilość obosiecznych toporów, kusz i pocisków,*

aby można nimi było odeprzeć z łatwością każdy napad. Ta zmysłna warownia była zarazem jednym z najnowocześniejszych ośrodków życia w ówczesnej Polsce.

Z młodszym o trzydzieści lat Kallimachem doskonale się rozumieli i uzupełniali. Rzutki Włoch był dla Grzegorza emisariuszem humanistycznych nowin z samego serca Italii. Sędziwy arcybiskup dla Filipa był protoplastą idei, których on sam omal nie przyplacił życiem. Imponował mu także jako silny w swych poglądach władca niezwyklej twierdzy humanizmu wzniesionej pośród północnych kniei. Być może dla Kallimacha zażyłość z Grzegorzem była przygodą, o którą zabiegał u Thedaldiego, musiały bowiem docierać do niego barwne plotki towarzyszące metropolicie nieprzerwanie, od dnia kiedy Kazimierz Jagiellończyk doprowadził do powierzenia mu lwowskiej kurii. W kraju natychmiast odezwały się protesty przeciw jego nieprzystojnym zagranicznym obyczajom. Te zagraniczne obyczaje to – jak pisał Tadeusza Sinko – *humanistyczny sposób życia, któremu mógł się oddawać dopiero u siebie, w Dunajowie. Otworzył on tu jakby schronisko dla humanistycznych uczonych i literatów, wyprawiał dla nich biesiady, urozmaicone dysputami filozoficznymi, deklamacjami własnych wierszyków, niemniej jak „trefnymi” żartami i dowcipami.*

Cudzoziemszczyzna, z której czyniono mu zarzut, brała się raczej z niechęci do prowincjonalnego średniowiecza. Niedawne idee, którymi żywiła się epoka, z wolna schodziły do poziomu parafialnych zabobonów. Towarzystwo obrońców takiego *status quo* byłoby dla arcybiskupa – łagodnie mówiąc – pozbawione intelektualnego powabu. Być może dlatego – jak powiadał Kallimach – od ucztowania z Polakami się wstrzymywał. *Co więcej biesiady ich nazywał obżarstwem, mówiąc, że nie należy jakiegokolwiek zebrań się ludzi na jednym miejscu w celu jedzenia i picia, nazywać biesiadą, bo w takim razie można by nazwać biesiadą, kiedy trzody bydła dla paszy zbierają się na łąkach; tylko tych ludzi zgromadzenie godnym jest imienia uczy, którzy na podstawie pewnego rozsądnego doboru zebrali się przy stole z jakiejś szlachetniejszej pobudki, niż chęci zadowolenia żołądka i gardła.* Dlatego też, czytamy dalej u Kallimacha, najchętniej biesiadował z *dobranymi przez*

siebie rozumnie cudzoziemcami i w ich towarzystwie się rozluźniał. A w przyjmowaniu ich przewyższał przepychem nawet najznamienitszych.

Wśród pokrewnych dusz goszczących stale w Dunajowie arcybiskup żył jak prawdziwy epikurejczyk, daleki od umartwień, powtarzając współbiednikom, że *sama starość jest wystarczającym umartwieniem.* Trudno się dziwić, że Kallimach, wdzięczny za tak niepospolitą gościnę, dozgonnie czcił go w swych pismach, nazywając *ojcem wszystkich wykwinności.*

Żądza usidlona

Polaków nieobecnych przy arcybiskupim stole rozpały więc niewybredne domysły, a najżywiej przemawiała do wyobraźni ta okoliczność, że *na dworze arcybiskupim przebywały kobiety, młode przyjaciółki i pociechy humanistycznych towarzyszy Grzegorza.*

Jan Długosz wprawdzie zaznaczył w swoich pismach, że arcybiskup, *wielki miłośnik muz, najbardziej jest godzien pańmęci z powodu pełnej polotu prozy, poezji i wymowy,* ale nie omieszkął też uwiecznić plotki, iż *nie wiadomo z pewnością, azali zwyczajną umarł śmiercią, czy z zadanej mu trucizny od kobiet, z którymi nad miarę lubił obcować.*

O tej stronie życia samego Grzegorza nic pewnego, ani tym bardziej pikantnego nie wiadomo. Jeśli jednak nie gościł panien w łożu, to już miejsca przy stole na pewno im nie odmawiał, o czym najdobitniej zaświadcza Kallimach, gdy wspomina gościnność dunajowskiego gospodarza: *żeby w niczem nie ograniczać swojej życzliwości względem mnie, zapraszał również do stołu Fanniolę, o której dobrze wiedział, że jest w mym nieszczęściu nieocenioną pociechą.*

Zatem w listopadzie 1470 roku Włoch trafił do Dunajowa w towarzystwie nadwyzczaj ponętnej dziewczki z szynku, dla której musiała być to przygoda doprawdy bajeczna – porzucić roznoszenie wina i pieczystego, skończyć z szorowaniem dzbanów i zasiąść przy arcybiskupim stole jako faworyta cudzoziemskiego poety. A w dodatku, jak pisał lwowski badacz Józef Skoczek, Kallimach *ruchliwy humanista oddział także ze swej strony na starego arcybiskupa tak dalece, że 70-letni starzec począł pisać wierszyki*

miłosne do kallimachowej „pociechy” Świętochny. Poeta to potwierdził opowiadając, że Grzegorz, ojciec wszystkich żartów pisał ku rozrywce i w żarcie na moją Fanusię. Przyznawał, że jest ona ozdobą i chlubą jego miasta. Obaj znakomici mężowie byli bowiem zgodni, że

... ile tylko dryjad i oread,
I nimf jak wiele w północnej krainie
Zaludnia łąki, źródła, wioski, góry
I lasy – każda zazdrości jej.

Czas spędzony we Lwowie i Dunajowie okazał się najpłodniejszy w poetyckim życiu Kallimacha. Nigdy później nie pisał tak wiele, w dodatku utworów tak odważnych i przełomowych dla ówczesnej poezji. Literackie rzemiosło przywiózł z Włoch, jednak wiele wskazuje na to, że dopiero plebejski, żywiołowy erotyzm uroczej lwowianki uczynił Kallimacha wielkim mistrzem słowa i emocji. Pierwotna siła Fannioli uwolniła kobietę ze średniowiecznych stereotypów – w nienagannie skrojonych wersach Kallimacha ujawniała się bowiem jej różnorodność, uczuciowość, była partnerką, adresatką zwierzeń, myśli, rozterek. *Targając uczuciami męzczyzny* także jego samego czyniła kimś więcej niż zachłannym panem jej ciała i duszy. Jeśli był wybitnym poetą, mógł w ten sposób zająć w najgłębsze zakamarki własnych żądz i emocji. We Lwowie późnego średniowiecza – ba, w całej *północnej krainie* – było to coś nowego, kuszącego i groźnego zarazem, jak w Kallimachowym wierszu:

Dała mi Fannia pocałunek złoty, taki co
podwaja
Ogień kochanków, gdy budzi się żądza.
Gdy rozchylone łączą się z wargami wargi
i oddech zdławiony zamiera.
Lecz gdybym dłużej w pocałunku złotym
trwał,
Moja dusza – żądza usidlona – do Fanni
chciałaby na wieki
Zbiec, zostawiając martwe ciało.”

Rozkaz Afrodyty

W lipcu 1471 roku umarł prześladowca Kallimacha papież Paweł II. Jego następcą Sykstus IV znany był z artystycznych sympatii i wspierania humanistów. Kallimach mógł więc opuścić Dunajów, nie wrócił jednak do Włoch.

*Przełożyłem północne ludy i śnieżne zawieje
Ponad czar wiosny etruskiej i Wezuwiusza
fiołki*

– pisał. Lubił przy tym sugerować, że to jakieś miłosne lub erotyczne *fatum* sprowadziło go do Lwowa:

Nad losem mym nędznym i nad mych
trudów ogromem
Ulitowało się w końcu współczucie bogów,
czy matka
Uskrzydłonego Amora – do twej ojczyzny
me życie,
Kroki kierując i tutaj każąc mi zostać.

A więc to Afrodyta, matka Amora, kazała mu zostać w Polsce. Cokolwiek naprawdę stało za postanowieniem Kallimacha, trzeba przyznać, że trudno byłoby wśród realnych motywów znaleźć równie elegancki co działanie z rozkazu miłosnej bogini.

Prawda – jak to w życiu – była bardziej prozaiczna. Przebywając w *północnej krainie*, nie mogąc przecież przewidzieć odejścia papieża, który zmarł mając 54 lata, Kallimach zaczął, przy pomocy wpływowych przyjaciół Grzegorza, budować swoją przyszłą pozycję. Wróciwszy do Włoch byłby jednym z wielu triumfujących humanistów. Tymczasem po dwóch latach we Lwowie i w Dunajowie miał widoki na poważną karierę nie tylko artystyczną, ale i państwową. Włosi coraz bardziej liczyli się w Europie, a w tej jej części Kallimach był już jednym ze słynniejszych, choć owszem, sława ta była nieco dwuznaczna i wypadało spoważnić. Być może taka kalkulacja podyktowała mu wiersz *Do Wenery*, którym zamykał dunajowski cykl i zapewniał, że porzuca miłosną lirę. To samo uczynił wkrótce z jej muzą Fanią. O ile jako artysta mógł w jej towarzystwie baraszkować po komnatach arcybiskupa-humanisty, to już na podobną ekstrawagancję nie mógłby sobie pozwolić jako polityk na dworze królewskim, a taką karierę myślał niebawem rozpocząć. Wyjechał ze Lwowa, by osiąść w Krakowie, gdzie ugruntował swoją legendę wielkiego humanisty, reformatora kultury i zręcznego publicysty politycznego.

W 1476 r. został sekretarzem króla i nauczycielem królewiat, dał się też poznać jako ceniony i skuteczny monarszy dyplomata, a po śmierci Kazimierza Jagiellończy-

ka pozostawał zaufanym doradcą i przyjacielem Jana Olbrachta. Jego pióro nigdy już nie osiągnęło takiej wirtuozerii jak we Lwowie i Dunajowie, ale pisał do końca życia, tworząc dzieła zmieniające oblicze ówczesnego piśmiennictwa, jak choćby pierwsza w Polsce świecka biografia, którą poświęcił – jakżeby inaczej – Grzegorzowi z Sanoka.

Zmarł dość młodo 31 października 1496 r. w Krakowie, pochowano go w kościele Dominikanów, a nagrobek wykonał mu sam Wit Stwosz.



Makieta Lwowa z czasów obecności Kallimacha

Jej cudna postać

Gdyby dać wiarę poetyckiej ekspresji to rozstanie Kallimacha z Fanią odbyło się w doprawdy melodramatycznym uniesieniu. Gdy z jego ust padło *bądź zdrowa, to nie ziemskie łzy ronila, lecz cały strumień brylantów spadł na jej łono*. Losy kochanków były jednak nieublagane. Poeta w 1472 roku, krótko przed wyjazdem ze Lwowa, zebrał wiersze „dunajowskie”, których większość krążyła w licznych odpisach, i ofiarował je swojemu lwowskiemu mecenasowi Aynolfowi Thedaldiemu. Dla Kallimacha miało to być podsumowanie jakiegoś etapu jego życia i twórczości. Wiele razy zapowiadał rozstanie z poezją miłosną na rzecz „poważniejszych” tematów, i choć w jakiejś mierze tak się stało, to w elegii dedykowanej Aulusowi Bossusowi mówił o sobie jako poecie miłości, *piewcy sarmackiej Fanii*.

Co się stało z muzą ze Lwowa? Dokąd się udała opuszczając Dunajów? I czy w ogóle go opuściła? Być może pochodziła ze Lwowa, a może z Bóbrki – w jednym z wierszy Kallimach nazywa ją bowiem *sławą bobrzeckich skał*. Wiadomo, że poeta nadal się nią interesował, chciał mieć nawet wpływ na jej zamążpójście i poczuł się osobiście urażony, że nie zechciała wyjść za drobnego szlachcica, z którym ją swatano. Ostatecznie pogodził się z faktami i napisał utwór weselny na cześć ślubu niezapomnianej

kochanki z wieśniakiem, którego nazwał *Muzeuszem z Dunajowa*. Może więc Fanniola osiadła wraz z przyszłą rodziną przy arcybiskupim dworze? Byłoby to wszakże rozsądne, skoro sam arcybiskup uważał ją za *ozdobę miasta*. Pozostanie tajemnicą także i to, czy z dziatwą Fanii i Muzeusza wychowywał się potomek Kallimacha. Wśród poświęconych jej wierszy znajdziemy wyrzut, jaki poeta czyni jej z powodu groźby *spędzenia płodu, owocu ich namiętności*. Czy Fanniola tę groźbę spełniła?

Wiadomo, że Kallimach był we Lwowie przynajmniej raz jeszcze, w 1485 roku wraz z królem Kazimierzem Jagiellończykiem, nie wspomniał jednak ani słowem o spotkaniu z dawną ukochaną. Jednak po paru latach spędzonych w Krakowie, będąc u szczytu stołecznej kariery, pisał do przyjaciela, który najwyraźniej mógł znać jej losy: *Chciałbym się dowiedzieć, Glauku, co teraz Fania porabia, czy jeszcze mnie dosyć pamięta? Tylko prawdę mi donieś. Weselej mi było w skromnej mieścinie niż wśród niebotycznych wież stolicy. Milsze mi były oczęta Fanii i jej cudna postać...*

Choć po tych słowach słuch o Fanii Świętosze, pięknej i namiętnej szynkarce ze Lwowa, zaginął bezpowrotnie, to Amor, ów hetman lwowianek, przez kolejne stulecia pełnił swoją służbę z niezmiennym oddaniem.

Z Panią Emilią i Zofią Fedyk, żołnierzami Armii Krajowej, rozmawia Anna Stengl

W „Biuletynie Informacyjnym Okręgu Podkarpackiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej” z 2015/1 pod tytułem *Damy Okręgu Podkarpackiego* czytamy:

Awansami na stopień porucznika zostały uhonorowane dwie najstarsze damy naszego Okręgu – siostry Emilia i Zofia Fedyk. (...) Z sentymentem wracają do malowniczego Leżajska na Podkarpaciu, z którym połączyła je młodość i okupacyjna walka w szeregach Narodowej Organizacji Wojskowej – Armii Krajowej.

Obie Panie urodziły się w Bełzie – pani Emilia w 1916, pani Zofia w 1923 roku. Jak wspominają moje rozmówczynie, ojciec był urzędnikiem kolejowym, matka zajmowała się domem i pracą społeczną. Córki zostały wychowane w duchu patriotyzmu i religijności, co niewątpliwie w dużym stopniu wpłynęło na ich późniejszą działalność i za-

angażowanie w sprawy Ojczyzny, szczególnie w działalności konspiracyjnej w czasie II wojny światowej.

Pani Emmo, 101 lat to cały wiek, a Pani wciąż jest niezwykle sprawna umysłowo i zapewne wiele może opowiedzieć o tym, czemu zawdzięcza Pani taki hart ducha, hierarchię wartości, która kształtowała się w Pani bez mała od dziecka.

Jestem dzieckiem wojny – I wojny światowej, być może już od pierwszych dni mego życia musiałam być dzielna (*uśmiech*). Ale niewątpliwie zarówno w dzieciństwie, jak i w młodości, tej wcześniejszej i późniejszej, złożyło się na to wiele czynników. Przede wszystkim dom – wychowanie w duchu patriotycznym, religijnym i aktywności społecznej. To narzucało pewien tryb życia. Nasza mama, od kiedy sięgnę pamięcią, zawsze działała społecznie (szczególnie w Sokole). Tego się uczy od rodziców i to się udziela. Na mój charakter niewątpliwie wpłynęły różne czynniki. Jeśli chodzi o szkołę, ukończyłam cztery klasy szkoły podstawowej, a potem uczęszczałam do Gimnazjum Królowej Jadwigi we Lwowie. Była to ośmioletnia nauka, a maturę zdałam w 1936 roku. I tu już zaczęłam tworzyć w sobie hierarchię wartości.



Panie Zofia i Emilia Fedyk

Co najbardziej wpłynęło na późniejsze Pani działania, reakcje w trudnych sytuacjach, co zostało w Pani z czasów gimnazjalnych?

Gimnazjum było bardzo patriotycznie i bardzo społecznie nastawione i w tym duchu nas wychowywano – przede wszystkim nastawienie do drugiego człowieka, pomoc dla słabszych, uboższych, mniej zdolnych. W szkole działała tzw. pomoc koleżeńska, która jednoczyła wszystkie uczennice i uczyła współpracy z otoczeniem. Pomagałyśmy sobie nawzajem w nauce, organizowałyśmy uroczystości, krótkie przedstawienia; najważniejszy był oczywiście dzień Królowej Jadwigi. W szkole działał chór szkolny prowadzony przez nauczycielkę śpiewu, były różne koła naukowe i – co ciekawe – szczególną wagę przykładano do gimnastyki.

Niezwykłą pomocą dla uczennic było Koło Matek: panie podczas dużej przerwy wydawały śniadania, przy czym dzieci z rodzin biedniejszych dostawały posiłek za darmo. Ideą tych działań było to, żeby w szkole nie było dziecka głodnego.

Bardzo aktywnie pracowałam w Sodalizacji Mariańskiej. W nowym budynku szkoły, w auli, było wyznaczone miejsce, w którym odbywały się rekolekcje, a także msze święte, w których brałyśmy udział (w niedzielę chodziło się do kościoła, do Karmelitanek). Do mnie należało organizowanie nabożeństw, miałam pod opieką ołtarz i wszystkie szaty liturgiczne. Takie zadania uczyły odpowiedzialności – to wartość, która jest bardzo ważna w życiu osobistym i społecznym.

W szkole były Polki (w przewodze), Rusinki (2) i Żydówki (5), a przekrój społeczny szeroki – córki robotników, oficerów wyższej rangi, urzędników i in., ale w klasie nie czuło się różnic, żyło się razem. Na pewno na kształtowanie mojej osobowości bardzo wpłynęło grono pedagogiczne. Nauczyciele, prócz nauczania, przekazywali nam wiele o hierarchii wartości w życiu, uczyli patriotyzmu, społecznej aktywności, pomocy dla ludzi, którzy tego potrzebują itd. Do dziś mam wielki szacunek dla nauczycielek, które brały udział w I wojnie światowej i w walkach 1919 i 1920 roku. Atmosfera w szkole była dla mnie bardzo ważna, bo ja przez 8 lat byłam poza domem rodzinnym (prócz świąt i wakacji), wychowywałam się wśród obcych ludzi, ale czułam się tam dobrze.

Był rok 1939, zaczął się czas niespokojny... Czy były wcześniej, jeszcze przed wybuchem wojny, jakieś sygnały dotyczące mobilizacji społeczeństwa?

Tak, w lipcu zarówno moja mama, jak i ja otrzymałyśmy pismo z powiatowej Jednostki Wojskowej, aby zgłosić się na przeszkolenie służby pomocniczej wojska w Łańcucie. Wynikało z tego, że rozpoczęły się prace nad zorganizowaniem sieci, które w razie wojny podjętyby działania dywersyjne i sabotażowe na terenach zajętych przez wroga (Niemcy i Sowietów). Mama była odpowiedzialna za zaopatrzenie, a mnie przeznaczono do wykonywania poleceń; dotyczyło to udzielenia pierwszej pomocy w przypadku rannego, a w razie potrzeby doprowadzeniu go do lekarza. Funkcjonował też Biały Krzyż – działanie, które nadzorowała moja mama. Moim zadaniem było zajmowanie się przyjeżdżającymi żołnierzami i osobami cywilnymi, przybywającymi z różnych stron Polski. W budynku przy stacji kolejowej udostępniono pokój, w którym następował rozdział żołnierzy.

Jak Pani i inni ludzie przeżyli pierwsze bombardowania, jakie myśli Pani wtedy towarzyszyły?

To był szok. Przy pierwszym bombardowaniu odezwał się alarm. Była masa ludzi na stacji, wszyscy uciekali, ja też, i uświadomiłam sobie, że zapomniałam zamknąć pokój, w którym była żywność. Wróciłam z dwoma kolegami, żeby zamknąć, i w tym momencie spadła bomba, w to miejsce gdzie przed chwilą staliśmy. Opatrzność czuwała!

A kiedy byliśmy u Bernardynów, w czasie bombardowania było strasznie, każdy myślał, że to jest ostatni moment w jego życiu. Ale w zasadzie nikt się nie załamywał, ludzie nie przeżywali strachu. Dominowało w nas przeświadczenie, że musimy wrócić do niepodległości. Liczyliśmy na pomoc Zachodu, myśleliśmy, że oni nam pomogą; stało się inaczej. Po pierwszych bombardowaniach nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to tak długo będą Niemcy. Wejście Niemców było wielkim przeżyciem i obawą, że nie damy sobie rady.

Nastąpiła okupacja, okres trudny dla wszystkich. Czym był ten czas dla Pani, jak radziła sobie Pani i Pani bliscy w tej rzeczywistości?

Okupacja odmieniła całe moje życie – musiałam iść pracować, nie miałam się w co

ubrać, dom rozbity, wszystko wykradzione... Ani pieniędzy, ani zapasów, ani ubrania, ale mimo to nie załamałyśmy się, nikt w domu się nie załamał. Książd ulokował nas u pani, która zajęła się nami i nas żywiła. Wrócił ojciec, wróciliśmy do zrujnowanego domu. W połowie roku dostałam pracę w spółdzielni jajczarskiej, ojciec też dostał zajęcie – ci, którzy nie mieli pracy, ładowali jajka. W pracy dostawałam tzw. stłuczki i przydział na cukier, pierwsze pieniądze były ode mnie. Później ojciec i siostra dostali pracę w spółdzielni, były już trzy „pensje”, ale niewiele można było kupić, bo trzeba było pomagać ludziom.

Z naszej rozmowy wynika, że zawsze była Pani bardzo zaangażowana we wszelkie działania. Przypuszczam, co graniczy z pewnością, że i w czasie okupacji nie stała Pani „z boku”.

W czerwcu 1940 roku z mamusią i siostrą zostałyśmy zaprzysiężone w Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) ze świadomością, że to jest naszym obowiązkiem. Jeśli jest organizacja, która będzie walczyć o wyzwolenie kraju, to ja muszę w niej być. Ja muszę pracować dla Polski – we mnie był duch patriotyczny – dla nas Polska to było wszystko! Wówczas przyjął pseudonim „Zalewska”.

I od tego momentu zaczęła Pani działać w konspiracji. Ciekawi mnie, jakie zadania Pani przydzielono? Można by sądzić, że kobieta tak drobnej postury niewiele może zdziałać w warunkach wojennych, a jednak ...

Pracowałam jako łączniczka przy komendzie placówki w Leżajsku, przewoziłam dokumenty, meldunki, rozkazy na wyższy stopień dowodzenia. Czasem trzeba było kogoś schować, kogo przeprowadzać. Aby pogłębić swoją wiedzę, uczestniczyłam też w szkoleniach, przede wszystkim jak wzmacniać innych, jak rozmawiać. Przejęłam opiekę nad młodzieżą i kobietami, przyjmowałam przysięgi, przekazywałam wiadomości tym, którzy się ukrywali. Po połączeniu NOW z AK pracowałam w tym samym pionie konspiracyjnym. Funkcji przybywało, ale wiedziałam, że ta praca ma sens. Pilotowałam żołnierzy spoza Leżajska na odprawy, rozprawdzałam na kwatery „spalonych” i ukrywających się żołnierzy podziemia, ukończyłam kurs sanitarny dla instruktorów, wizytowałam i szkoliłam patrole sanitarne w kilku miejscowościach należących do tego samego

pionu... Trochę tego było... W czasie akcji „Burza” organizowałam się łączności między walczącymi oddziałami, odpowiadałam także za zaopatrzenie.

Czy podczas swojej działalności zdarzyły się sytuacje, w których obawiała się Pani o swój los, może nawet i życie?

Tak naprawdę wiadomo, że cały czas było niebezpiecznie, ale człowiek nie zastanawiał się nad tym, co mu grozi. Owszem, było takie zdarzenie, które do dziś pamiętam. Ukrywał się pewien człowiek wysokiej rangi. Dostałam zadanie, aby przewieźć dla niego radiostację krótkofalową z Leżajska do Raclawic k. Niska. Przyjechałam do tej miejscowości, rozejrzałam się, czy można iść, wydawało się, że bezpiecznie, a przed skrzętem na most na Sanie zobaczyłam Niemców kontrolujących kupców wracających z targu. Zamarłam! Szłam powoli. Kiedy byłam już 20 m przed nimi, zajęchała furmanka. Niemcy rzucili się na tę furmankę, a ja przeszłam spokojnie obok. Doszłam do wsi, oddałam radiostację. Kiedy doszłam do celu, chwilę odetchnęłam, a potem udałam się w drogę na punkt. Byłam tak zdrtęta, że nie mogłam wsiąść do pociągu, musiałam pojechać następnym. Psychicznie to było straszne przeżycie.

Po pewnym czasie dostaję polecenie – mam zgłosić się na punkt, po drodze musiałam jeszcze coś załatwić i wobec tego zatrzymać się tam na noc. Polecono mi przewiezienie broni do pewnej miejscowości i oddanie jej w sklepiku. Prócz tego miałam paczkę żywnością dla pana, który ukrywał się, wykonywał kenkarty i różne inne dokumenty; miałam ją zostawić w gajówce. Ale jak przemycić broń? Był dzień targowy; kazałam kupić dużą kapustę, wydrążyłam ją i ukryłam rewolwer. No i w drogę... Idę i słyszę – jadą z gestapo; weszłam na pole, położyłam się na miedzy, przeczekałam. Jak odjechali, wyszłam i poszłam do gajówki. Tam przyjechało trzech Niemców. – A ty co tutaj robisz? – Ponieważ było tam dwóch młodych ludzi, odpowiedziałam: – Przyjechałam tu do swojego chłopca. – Jeden z nich uspokoił mnie, że Niemcy przyjechali po bimber, schowali mnie do szopy, tam przenocowałam i dopiero rano pojechałam do domu.

Jakie jeszcze czynności należały do Pani?

Dla kobiet przeprowadzałam musztry, inspekcje, egzaminowałam, byłam sanitariusz-



ką, kontrole, trzeba było jeździć, chodzić, odprowadzać na miejsce pobytu, wykonywać polecenia od szarży, poza tym miałam ciągle do czynienia z wyższymi władzami. I jeszcze jedno – świetnie umiałam podpisywać nazwisko starosty na fałszowanych kenkartach – fantastycznie!

Jak z perspektywy czasu ocenia Pani zachowania poszczególnych ludzi w tym trudnym okresie?

Przed wszystkim parę słów o kobietach. Rola kobiet w tych strasznych czasach była nie do przecenienia. Przed wszystkim wzmacniały działania mężczyzn. Młode kobiety działały z wielkim entuzjazmem. Kobiety nauczyły się myśleć, były odważne, mężne i działały wspierająco.

Część ludzi nauczyła się pomocy bezinteresownej i delikatnej, dyskretnej pomocy potrzebującym. Jednak było też dużo pazerności, izolacji, chęci korzyści. Ja nauczyłam się w tym czasie bardzo wiele, a przede wszystkim nabyłam umiejętność poznawania ludzi. To zostało mi na całe życie.

Jak potoczyły się Pani losy po zakończeniu II wojny światowej?

Po 1945 roku zwinęłam chorągiewkę i wyjechałam z rodziną do Krakowa. Zapisalam się na Wydział Prawa UJ. W Bratniej Pomocy zajęłam się administracją domu akademickiego i Komisji Zaopatrzenia. Było łatwiej, bo miałam już wyżywienie, mogłam

przynosić siostrze obiady, które mi przysługiwały, były dary ...

Na koniec naszej rozmowy, choć wiem, że mogłybyśmy jeszcze długo... chciałam Panią zapytać o to, co zostało w Pani z czasów „kresowych”. Nie wątpię, że tęskni Pani za tymi swoimi stronami, ale też jakie są Pani refleksje po tym jakże trudnym, pełnym przeżyć czasie, przecież wiem, że jest Pani osobą dzielną, ale jakże wrażliwą.

Hm! My ciągle tymi Kresami żyjemy; były naszym środowiskiem, duchem, całym życiem. Jestem wciąż zafascynowana Kresami. Wszystko co dobre skończyło się na Kresach, potem były już tylko konieczność i obowiązek. A co jest we mnie? Dwa sprzeczne uczucia. Z jednej strony świadomość, że spełniłam obowiązek i zrobiłam to bezinteresownie, a z drugiej strony wielki żal, żal, że taka masa ludzi w Polsce nie zrozumiała tego wielkiego poświęcenia tyłu młodych istnień; szli, aby odzyskać Polskę, wolność... O tych ludziach się zapomniało.

Zapewne jeszcze wiele miałaby Pani do opowiedzenia, przecież to był okres kilku lat niecodziennej aktywności, odpowiedzialności... Bardzo dziękuję, Pani Emmo, za rozmowę.

A teraz poproszę Panią Zofię o Jej wspomnienia.

Pani Zofio, co zdecydowało o tym, że w tak młodym wieku podjęła Pani tak trud-



ne wyzwania, które stanęły przed Panią wraz z wybuchem II wojny światowej?

Na pewno dom, szkoła i zaangażowanie, jakie obserwowałam u mojej mamy i siostry. Swoją naukę rozpoczęłam w Belzie, w szkole powszechnej, prowadzonej przez Siostry Felicjanki, które były nastawione patriotycznie; już jako dziecko nauczyłam się tam patriotycznych piosenek i wierszyków, do których często potem wracałam. Przez krótki czas chodziłam do szkoły w Rawie Ruskiej, a potem już we Lwowie, najpierw skończyłam szkołę podstawową, a w 1935 roku zdałam egzamin do gimnazjum im. Królowej Jadwigi we Lwowie. Nauczyciele w gimnazjum byli na wysokim poziomie, wychowywali nas w duchu patriotycznym na dobrych obywateli państwa polskiego, należałam do harcerstwa, słowem to był czas kształtowania się mego charakteru i systemu wartości.

Wiem, że razem z mamą i siostrą podjęła Pani swoje pierwsze działania w organizacji konspiracyjnej. Była Pani przecież bardzo młodą dziewczyną.

Tak, miałam wtedy 16 lat. Wybuch wojny zastał mnie w szkole w Leżajsku, gdzie przenieśli się z nami rodzice w 1937 roku. Gdy wojna wybuchła, my uczennice jako słuchaczki przysposobienia wojskowego przywdziałyśmy mundury i zaczęłyśmy działać. Poza tym pomagałam w Białym Krzyżu. Początkowo należałam do NOW, gdzie zlecano mi drobne zajęcia – wraz z innymi osobami

rozdawałam na stacjach kolejowych żywność, napoje, papierosy, słodycze dla wojska udającego się na front, poza tym porządkowałam dokumenty. Byłyśmy pełne wiary, że wojna będzie trwała krótko, ale po pierwszym bombardowaniu pojawiły się obawy, nasz zapał trochę ostygł – wiadomości były bardzo niepokojące, dotknęło to nas i bliską Ojczyznę naszą. Wszyscy zorientowaliśmy się, że tracimy naszą niepodległość. Było niespokojnie, tatuś poszedł z innymi panami na wschód do Lwowa (wrócił w październiku), a my musiałyśmy się kryć, a to w uprawach ziemniaków, a to w wąwozie. Niemcy zajęli nasz dom, był rozbity, okradziony, co sprawiło, że z dnia na dzień z zamożnej rodziny staliśmy się biedni.

I zaczął się trudny czas okupacji!

Tak. Wojsko zajęło 3 pokoje, zima 1939/40 była chłodna i głodna, a to był dopiero początek wojny. Ale przynajmniej miałyśmy za to parę marek. Można było coś kupić.

Jak wobec tego można było reagować, jak ratować się, żeby przetrwać?

Wobec tak trudnej sytuacji po pewnym czasie wszyscy zaczęli pracować, dawano przydziały żywności. Szkoły były nieczynne. We wrześniu w Leżajsku zaczęło funkcjonować gimnazjum, które trwało dwa tygodnie. Przed 11 listopada Niemcy pozamykali profesorów, gimnazjum zlikwidowano, była tylko szkoła powszechna. Jeden z profesorów, który znał naszą rodzinę, udzielał mi

lekcji z fizyki i matematyki, umożliwiło mi to ukończenie 2 klas licealnych i indywidualne zdawanie matury. Prócz tego profesora przygotowywali nas także inni profesorowie, ale oczywiście nauka odbywała się w konspiracji. To była pierwsza tajna matura w Leżajsku. Zdawałyśmy pisemnie polski i łacinę w Giedlarowej na plebanii. Tam spotkałam jeszcze dwie moje koleżanki. Zdawałyśmy też matematykę, którą pisałyśmy u nas w domu. Wobec dobrych wyników z matury pisemnej, ustnie zdawałam tylko z historii. Dopiero po wojnie wiadomo było, kto zdawał, przy czym wtedy dowiedziałyśmy się, że w podobny sposób maturę uzyskali jeszcze trzej „panowie”. A nikt o tym nie wiedział. Koniec wojny miał być pomyślny dla Polaków, ale nie był, aczkolwiek to, że matury zostały uznane, było istotne, bowiem w przyszłości można było starać się o przyjęcie na wyższą uczelnię.

Jak zaczęły się Pani działania w konspiracji? Przecież to były niezwykle wyzwania, które Pani podjęła. Zapewne ktoś musiał Panią wprowadzić, za Panią poręczyć.

W czerwcu 1940 roku syn znajomego profesora, o pseudonimie Kuba, który też działał, zapytał mnie, czy pracowałabym w konspiracyjnym wywiadzie. Naturalnie zgodziłam się, chciałam działać konkretnie, to była naturalna potrzeba, wiedziałam, że muszę pracować dla Polski. Cały czas przyświecała mi idea – duch patriotyczny wyniesiony z domu, ze szkoły, z kościoła. Notabene z Kubą, który był moim zwierzchnikiem, pracowałam od 1940 do 1944 roku, w którym to został, właściwie przez przypadek, aresztowany przez Niemców.

Jakie były konkretne konspiracyjne zadania przeznaczone dla Pani? Przyjęła Pani pseudonim, prawda?

Miałam pseudonim Roma. Prowadziłam wywiad gospodarczy – np. co i ile wysyła się dla Niemców. Po przejściu przeszkolenia w zakresie szyfrowania zajmowałam się kodowaniem meldunków, wywiadem, odbierałam przysięgi, prowadziłam pogadanki okolicznościowe na odprawach w różnych miejscach, rozprowadzałam prasę. Działałam w Referacie Rozpoznania i Informacji. Był cały system zapisywania prowadzonych przeze mnie wywiadów. Powiedziano mi, jak mam się zachowywać, a kontakto- wałam się tylko z tymi, których polecił mi

Kuba. Po połączeniu NOW i AK, w ramach AK pozostałam w swoim referacie jako kierownik sekcji.

Zajęć było sporo, a wszystko trzeba było wykonywać w wielkim napięciu i ogromnej ostrożności. A wojna trwała... i trzeba było w miarę normalnie żyć. Jak poukładały się sprawy domowe?

Niemcy mieli u nas kwaterę, zabierali dwa, czasem trzy pokoje. W jednym pokoju mieszkał oficer SA. Spokojny, niekłopotliwy. Do nas należało umycie naczyń i posprzątanie pokoju. Miało to jedną dobrą stronę; przy tej okazji można było przejrzeć papiery, które nie były schowane, to zwykle należało do mojej siostry Emmy, która świetnie władała językiem niemieckim, a potem mnie przekazywała te wiadomości. Byłam, w pewnym sensie, na bieżąco... W pozostałych pokojach mieszkali żołnierze, którzy mieli tam stację ładowania akumulatorów. A nasze domowe życie? Mama żywiła różnych ludzi, którzy byli głodni, najczęściej sama nie jadła, bo już dla niej nie wystarczało. Ratowało się ludzi, przyjmowało się tyle osób, ile się zmieściło. Ukrywał się u nas pan przez 9 miesięcy, odbył 9 pierwszych piątków! A nasza Mama zawsze mówiła: – *Ocalenie jednego człowieka jest więcej warte niż pieniądze i całe złoto świata.*

Jak psychicznie radziła sobie Pani z wojenną rzeczywistością? Była Pani bardzo młoda, na pewno bardzo mądra i odważna, ale jednak to musiało być trudne.

Bałam się dopiero w ostatnich miesiącach okupacji niemieckiej. Kiedy słyszałam tupot butów pod naszym domem, zamierałam, ucisk w gardle mijał dopiero, jak przeszli. I ta myśl: przejdą czy nie przejdą? I widok ludzi po pacyfikacji – prowadzonych przez Niemców, którzy ograniczali ich z obu stron... przechodzili koło naszego domu, za 20 min salwa i tych doprowadzonych rozstrzelivano. Dużo naszych znajomych wtedy zginęło. To było straszne i okrutne.

Te wszystkie przeżycia we mnie zostały, do dziś jeszcze czasem zrywam się w nocy krzyżąc. Ale to co koi, to świadomość, że choć trochę mogłam pomóc naszej kochanej Ojczyźnie, działając w tak wspaniałej organizacji, jaką była Armia Krajowa. I tego mi nikt nie odbierze!

Pani Zofio, jak ułożyły się Pani losy po zakończeniu wojny? Miała Pani mimo warunków,

jakie niósł czas wojny, zdaną maturę, mogła Pani iść na studia.

I poszłam! Po przyjeździe do Krakowa dowiedziałam się, że są zapisy na politechnikę; chciałam studiować architekturę, a poza tym, w uzupełnieniu, historię sztuki, tym bardziej że tu zajęcia już odbywały się normalnie, politechnika dopiero się organizowała. Założyliśmy komitet organizacyjny, przyjmowaliśmy tych, którzy przyjeżdżali do Krakowa. Byli to i młodzi ludzie, którzy chcieli studiować, ale także profesorowie, którzy chcieli pracować na uczelniach. Role nasze były podzielone, jedni przyjmowali zapisy, a dwóch studentów razem z profesorem Stellą-Sawickim pisali memoriały. Szukali kogoś, kto umiał pisać na maszynie; ja zgłosiłam się do tej pracy i tak „trwałam” od lutego do maja, kiedy to powstał Wydział Inżynierii i Wydział Komunikacji. Architektura zaczęła działać dopiero w grudniu. Oczywiście wszelką pracę przy organizacji uczelni traktowałam jako działania społeczne.

Muszę powiedzieć, że w tym powojennym czasie miałam wiele koleżanek i kole-

gów, którzy nie wyobrażali sobie życia bez pracy. Jesteśmy młodzi i mamy pracować!

I tak zaczęło się nasze życie po przejściach wojennych.

Pani Zosiu, dziękuję bardzo za rozmowę i mam świadomość, że powrót do tamtych przeżyć nie jest łatwy, a jednak chciała mi Pani o tym opowiedzieć.

Dla nas ważne jest to, że zostałyśmy docenione przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, otrzymałyśmy liczne odznaczenia, a ostatnio, na wniosek Okręgu Podkarpackiego, Medal Pro Patria, który jest przyznawany za szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

MAŁGORZATA GOŹDZIK, absolwentka Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, swoją pracę magisterską obroniła krótkim filmem dokumentalnym *Tort*, którego bohaterkami są Panie Emilia i Zofia Fedyk. Opowiada on o ich 3-dniowym wyzwaniu, którym jest przygotowanie tortu orzechowego.



Panie Zofia i Emilia Fedyk z autorką fotografii Małgorzatą Goździk

Maria Mazur-Prokopiuk

Wspomnienie o Wilhelmie Feldmanie

Za rok minie 100 lat od śmierci Wilhelma Feldmana – pisarza, historyka i krytyka literatury, polityka, któremu Kraków po śmierci oddał cześć, nazywając ulicę jego imieniem. Za życia jednak traktował go, delikatnie rzecz ujmując, po macoszemu. Takie chyba jednak było „szczęście” i taka karma Feldmana – idealisty, który nie umiał płynąć z prądem. Zawsze wspan, zawsze konsekwentny, angażując się emocjonalnie i totalnie we wszystko, co robił – nieustannie narażał się w wielu środowiskach. Jego nazwisko zaciera się już stopniowo na kartach historii, a szkoda, bo to niesłychanie barwna postać – o życiorysie, na podstawie którego mógłby powstać doskonały film.

Zbaraż – Łwów – Berlin

Urodził się w 1868 roku w Zbarażu w ubogiej rodzinie chasydów. Przeznaczony do stanu duchownego, pierwsze lata życia spędził w chederze zbarskim. Jako piętnastoletni chłopak, zafascynowany polską literaturą i kulturą, podczas uroczystości dwusetnej rocznicy bitwy pod Wiedniem, wystąpił w synagodze zbarskiej z przemówieniem na cześć Sobieskiego, polskiego bohaterstwa, i obowiązków Żydów wobec Polski jako przybranej ojczyzny. Bardzo odważne wystąpienie mogło się dla Feldmana skończyć tragicznie: tłum chasydów, wzburzony profanacją świątyni, solidnie poturbował młodego mówcę. Kilka lat po tym wydarzeniu wyjechał do Lwowa. Uciekał z małego galicyjskiego miasteczka, z zaco-fania i biedy – do jeszcze większej biedy. Zdobywał wiedzę za cenę nieludzkich wyrzeczeń – nie tylko dla siebie, ale również po to, aby prowadzić działalność oświatową wśród biedoty żydowskiej.

We Lwowie działał w tajnych organizacjach, prowadził kółka samokształceniowe wśród robotników i młodzieży szkolnej, pomagał w kolportażu nielegalnej literatury z Królestwa i do Królestwa, kilkakrotnie był aresztowany. Następnie w Krakowie, gdzie przyjechał z myślą o podjęciu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim – związał się z radykalnym, socjalizującym ruchem mło-



Wilhelm Feldman ok. 1905 r. Zdjęcie z archiwum rodzinnego

dzieży akademickiej, współtworzył pismo „Ognisko”, naraził się na represje policyjne, jako „socjalista – dekadent” (mimo że nigdy do ruchu socjalistycznego oficjalnie się nie włączył). Musiał ukrywać się na Bukowinie przed grożącym mu aresztowaniem, zasiadł na ławie oskarżonych, został jednak uwolniony. Z kolei w Berlinie, gdzie wyjechał w 1894 roku, aby studiować filozofię, zaangażował się w życie Polonii berlińskiej. Został usunięty przez władze jako „uciążliwy cudzoziemiec”.

Kraków – Łwów – Kraków

Po wyjeździe z Berlina Feldman przyjechał do Krakowa. Tutaj rozpoczął się najbardziej płodny okres w jego życiu. Wydawał i redagował kilka czasopism, wśród nich radykalny „Dziennik Krakowski” (1896–1897), o którym mówiono, że od razu stanął na



Zespół redakcji „Dziennika Krakowskiego”, w środku W. Feldman, ok. 1896 r. Zdjęcie z archiwum rodzinnego

poziomie europejskim, zdobywając sobie jednakowoż więcej wrogów – szczególnie wśród konserwatystów – niż prenumeratorów. Pismo objęło prawie wszystkie dzielnice Polski i było wydawane przez niemal dwa lata. Niemniej uciążliwość ciągłych utarczek z biedą, cenzurą, niechęcią krytyków była tak przytłaczająca, że ostatecznie Feldman zrezygnował z wydawania „Dziennika”. Wyjechał do Lwowa, gdzie utrzymywał się jedynie z pióra, jako korespondent i... znów przymierał głodem.

W tym okresie, podczas podróży do Przemyśla, poznał swoją przyszłą żonę, Marię z Kleinmanów, tłumaczkę literatury niemiecko- i anglojęzycznej. Wzięli ślub w roku 1898, rok później urodził się ich syn – Józef. W roku 1901 przyjechali już razem do Krakowa, gdzie Wilhelm objął posadę w redakcji „Słowa Polskiego”, a następnie przejął na własność redakcję miesięcznika „Krytyka”.

Czasopismo wychodziło w latach 1901–1914 i było uważane za wspólne dzieło obydwojga małżonków. „Krytyka” odznaczała się nowatorstwem formy i postępowymi poglądami, stała na stanowisku niepodległości politycznej, powszechnej równości i bezwzględnej sprawiedliwości. Zakazana poza granicami Galicji, jako niebezpieczna dla rządów Prus i Rosji, kolportowana była do Królestwa i Poznańskiego, ciesząc się tam taką samą popularnością jak w Krakowie

i okolicach. Pomysłowy Feldman wprowadził do gazety wiele nowości, jak ankiety, konkursy, dyskusje zbiorowe, polemiki. Śmiało można powiedzieć, że „Krytyka” kształtowała historyczną świadomość i gust literacki Polaków pod zaborami. Była krokiem milowym w rozwoju polskiej publicystyki i literatury periodycznej. Jak pisał o niej Andrzej Jazowski: *Budziła społeczeństwo z obojętności narodowej i społecznej, walczyła z zacofaniem na wszystkich odcinkach życia i głosiła chwałę wolnej myśli ludzkiej (...) Redaktor „Krytyki” ścigał do siebie młode, najbardziej żywotne i uzdolnione jednostki. I tak na przykład pod koniec pierwszego dziesięciolecia bieżącego wieku otworzył on szeroko łamy swojego pisma dla młodego pokolenia pisarzy, które święciło triumfy dopiero w okresie międzywojennym (M. Dąbrowska, Z. Nałkowska, Kaden-Bandrowski i inni)¹.*

Dzieła

Twórczość Feldmana – publicysty, dramatopisarza, krytyka literatury, zawsze była surowo oceniana – jako pełna patosu, zbyt emocjonalna, *obfita, lecz pozbawiona większych wartości artystycznych*, posiadająca niemal wyłącznie walory dokumentalne². Dzieło życia Feldmana: *Współczesna literatura polska* (pierwotny tytuł: *Piśmiennictwo polskie ostatnich lat dwudziestu*, 1902) została uznana za wyraz sympatii ideowo-

-artystycznych autora i stała się powodem licznych polemik. Nie były one pozbawione osobistego stosunku piszących do Feldmana jako samouka, Żyda i nuworysza, który – pomimo braku tytułów naukowych i polskich korzeni – ośmielił się oceniać polską literaturę. Zarzucano mu brak metody i przesadny entuzjazm. Krytyka przybrała niezbyt przyjemną formę, łącznie z napaściami osobistymi, insynuacjami i niesmacznymi żartami w formie np. pamfletów. Autor dzieła odpowiedział na ataki broszurą *Pro domo et pro arte* (1909).

Tematowi asymilacji Żydów oraz walki z syjonizmem i zacofaniem ortodoksów poświęcił Feldman wiele prac, m.in.: *Asymilatorzy, syjoniści i Polacy* (1893); *Stosunek A. Mickiewicza do Żydów* (1890); *Żydzi w powieściach Orzeszkowej* (1896); dramat *Cudotwórca* (1900); powieść *Żydziak* (1889). Asymilacja, jakiej był orędownikiem, miała być totalna – łącznie z chrztem. Głosił, że kwestia żydowska jest integralna wobec kwestii polskiej, żądał od społeczeństwa polskiego, aby pozwoliło Żydom rozpuścić się w organizmie polskim a od Żydów, aby nie stali poza nim, łącząc się w jeden naród. Jego podejście było w tamtych czasach na tyle kontrowersyjne, że wywołało protesty zarówno ortodoksyjnych środowisk żydowskich, jak i polskich antysemitów.

W okresie poprzedzającym I wojnę światową, jako zwolennik polskich dążeń niepodległościowych, pisał również Feldman prace historyczne: *Stronnictwa i programy polityczne w Galicji 1846–1906*, t. 1–2, 1907; *Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porozbiorowym*, t. 1–3, 1914–1920).

„Smatławy Pfeldman”

Postać Wilhelma Feldmana została uwieczniona w literaturze pięknej, o czym można przeczytać w książce Adama Grzymały-Siedleckiego zatytułowanej *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*. Mianowicie Kazimierz Przerwa-Tetmajer w utworze *Romans panny Opolskiej* stworzył postać Pfe-Feldmana. Jak pisał Grzymała-Siedlecki: *Smatławy Pfeldman miał być odwetem za jego – drętwą zresztą – ocenę twórczości Tetmajera*³.

Nazwisko bohatera zostało później w utworze zmienione na: Weschman. Zarówno Tetmajer, jak i Grzymała-Siedlecki

pisali o Feldmanie protekcjonalnie, z przy-mrużeniem oka. Z lekką pogardą nawet. Jak widać, krytyka jego autorstwa musiała być dla Przerwy-Tetmajera bardzo bolesna.

Z kolei Tadeusz Boy-Zeleński w swojej książce *O Krakowie* przytacza anegdotę: *Będzie temu lat około dwudziestu w Krakowie, w epoce bardzo już czynnego kultu Słowackiego, dwaj kawalerze (znam ich nazwiska) wpadli na koncepcję, aby do jednego z tygodników posłać parę strof wyjętych ze środka znanego wiersza Słowackiego Do Laury.*

W liście, zeszepeconym błędami ortograficznymi, młody debiutant prosił, na zasadzie tej próbki, o ocenę, czy ma ,tałęt’ i czy ma dalej uprawiać niwę poezji. Jakaż była radość autorów listu, kiedy wyczytali taką Odpowiedź od redakcji: „Zapytuje pan, czy ma ,tałęt’. Otóż musimy panu powiedzieć, że nie mamy jeszcze łockia do mierzenia tałentu, posiadamy natomiast kosz redakcyjny, w którym spoczął pański wiersz, mimo tak obiecującego początku” (...) Tylko tyle! Przytoczono te strofy jako wzorek grafomanii. Gdybyż bodaj zachęcono młodego poetę do dalszej pracy, gdyby mu przyznano bodaj zadatki ,tałentu’! Młodym kpiarzom udało się dojść, kto był autorem Odpowiedzi od redakcji: był nim W.F, jeden z najbardziej ruchliwych krytyków i historyków literatury



Maria Feldmanowa ok. 1910 r. Zdjęcie z archiwum rodzinnego



Stanisław Wyspiański, „Portret Wilhelma Feldmana”, Kraków 1904, zdjęcie wykonała Pracownia Fotograficzna MNK. Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie

(już nie żyje). Było z tego sporo śmiechu, a nawet zgorszenia, bo sprawa się rozeszła; krytyk tłumaczył się przemęczeniem, a przyjaciele usprawiedliwiali go, że w istocie w owym czasie był bardzo zajęty organizowaniem wieców w sprawie przeniesienia zwłok Słowackiego na Wawel...⁴

Dla wielu osób w tamtym czasie był Feldman celem żartów, nie tylko bowiem osobowość miał interesującą (drażniącą wszakże ogromnie jego przeciwników), ale także charakterystyczną fizjonomię, którą wdzięcznie potrafili odtworzyć karykaturzyści. Pojawił się również w *Szopce Zielonego Balonika*, gdzie na nutę *Żydzio, Żydzio!* rozprawiał z Feliksem „Manghą” Jasieńskim⁵. Obydwaj panowie byli pochodzenia żydowskiego. Dziś może oburzać fakt, że sto lat temu z okładem dozwolone były żarty, które dziś odczytane byłyby za politycznie nieoprawne, ale taki właśnie wtedy był Kraków. Z drugiej strony ten sam Boy-Żeleński nazwał go kilkadziesiąt stron dalej „apostolem Młodej Polski”⁶ – zasługi Feldmana dla twórczości tego okresu były bowiem naprawdę olbrzymie.

Wyspiański: mistrz i przyjaciel

Myślę, że należy zatrzymać się na chwilę, wspominając przyjaźń naszego bohatera z Wyspiańskim, opartą na wzajemnym szacunku i serdeczności. Oczywiście poszukiwacze dziury w całym uznali, iż w artykułach swoich, jak również we *Współczesnej litera-*

turze polskiej Feldman wyraźnie faworyzował Wyspiańskiego i Żeromskiego, z którymi łączyły go przyjazne stosunki. Rzeczywiście autor *Wesela* uznawał jego komentarze, co należało odczytać jako dowód wielkiego zaufania, ponieważ z reguły nie przyjmował głosów krytyki: *Przyjaźń Feldmana, która zacieśniła się w roku 1904, była bezinteresowna i pełna oddania. Pomagał Wyspiańskiemu w wielu życiowych sprawach, starał się znaleźć kupców na jego obrazy, a także wspierał artystę w ostatnich latach życia*⁷. W roku 1905 to Feldman właśnie wysunął kandydaturę Wyspiańskiego na dyrektora Teatru Miejskiego (obecnie: Teatru Słowackiego). Starania te zakończyły się jednak

fiaskiem. Również dzięki niemu doszło do spotkania Wyspiańskiego i Żeromskiego – 16 stycznia 1905 roku w mieszkaniu na Krowoderskiej, należącym do Wyspiańskiego. Dwa lata później spotkali się znowu, a Stefan Żeromski tak opisał to w swoich *Wspomnieniach*: *Chory pisał tylko rozmaite pytania i zadawał je, rzucał Wilhelmowi Feldmanowi. Dopytywał się o mnóstwo rzeczy nie znanych mi, żądał ostro rozmaitych wyjaśnień spraw literackich i artystycznych, wiadomości i nowin, o coś wypytywał pośpiesznie i wydawał zlecenia. Wszystko to Feldman notował w pamięci i na piśmie*⁸. To Feldman wraz z Adamem Chmielem najczęściej czuwali przy Wyspiańskim, kiedy był już bardzo chory. Na łożu śmierci podziękował im za przyjaźń i powierzył opiekę nad swoją spuścizną literacką. Obydwaj sumiennie wywiązali się z powierzonego zadania; już w roku 1908 ukazała się pierwsza publikacja przygotowanych przez nich utworów ich mistrza i przyjaciela.

Podczas poszukiwań śladów przyjaźni Feldmana i Wyspiańskiego znalazłam ich kilka. Po pierwsze: portrety Wilhelma i jego syna Józia. Obecnie są własnością Muzeum Narodowego, do którego zostały przekazane przez rodzinę Feldmanów w 1954 roku. Po drugie: wiersze. Jeden z nich, zatytułowany *Do Wilhelma Feldmana*, był odpowiedzią na pytanie Feldmana, czy Wyspiański chciałby, aby ten przywiózł mu z Litwy jakiś upominek:

*Dnia 17 marca 1905, Kraków
Kochany Panie Redaktorze!
Nienawidzę – więc daru przyjąć nie mogę,
jako daru.*

*W zamian gdyby choć parę gałązek
znad brzegu Wilii lub z brzegów Wilejki,
gdyby choć jaki strzęp, z głowy zawiązek,
jaki Litwinki noszą lub Rutejki,
gdyby choć kostur ledwo ociosany,
na wzór kostura owego Lizdejki,
gdyby kamyczek ze ścian owej wieży,
gdyby garść piasku, lecz byle z tej ziemi,
gdzieśmy przysięgli w jedności żyć z niemi.
Lecz z dalsza nic⁹*

I drugi wiersz – jeden z najpiękniejszych utworów Wyspiańskiego: *Kocham Kraków*, również załączony do listu, adresowanego do Wilhelma Feldmana:

*O, kocham Kraków – bo nie od kamieni
przykrości-m doznał – lecz od żywych ludzi,
nie zachwieje się we mnie duch ani nie
zmieni,
ani się zapal we mnie nie ostudzi,
to bowiem z Wiary jest, co mi rumieni
różanym świtem myśl i co mnie budzi.
Im częściej na mnie kamieniem rzucicie,
sami złożycie stos – stanę na szczycie¹⁰*



Stanisław Wyspiański, „Portret chłopca” (Józio Feldman), Kraków 1905, fot. Pracownia Fotograficzna MNK. Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie

Zaskakujące, że te same słowa mógłby wypowiedzieć Feldman. Nie od kamieni wszakże doznał przykrości, lecz od żywych ludzi. Nie tylko w Krakowie.

Działalność polityczna w czasie I wojny światowej

Wilhelm Feldman był inicjatorem powstania Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, współorganizatorem Strzelca i Drużyn Strzeleckich, żołnierzem Legionów Polskich. Ze względu na stan zdrowia nie został wysłany na front, ale i tak aktywnie działał na rzecz odbudowy niepodległego państwa polskiego: w latach 1914–1918 pracował jako naczelnik biura prasowego Naczelnego Komitetu Narodowego w Berlinie. Pokój brzeski ogromnie go rozczarował. Zareagował, pisząc list otwarty do deputowanego niemieckiego, Neumanna, nie kryjąc ostrych słów pod adresem Niemiec. Zarzucił im wiarotomstwo. Władze zareagowały natychmiast groźbą aresztowania autora listu. W maju 1918 Feldman opuścił Berlin bez prawa powrotu. Towarzystwo Polskiej Partii Socjalistycznej wystosowało wtedy do niego pismo:

*Wielce Szanowny Panie Feldman!
Powodowani zamiarem opuszczenia
przez Wielce Szanownego Pana tutejszej*

Samuel Hirszenberg, „Portret Marii Feldmanowej”, 1907, zdjęcie wykonana Pracownia Fotograficzna MNK. Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie



Jan Szczepkowski, „Karykatura Wilhelma Feldmana”, 1906, zdjęcie wykonała Pracownia Fotograficzna MNK. Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie



placówki szerokiej i sprężystej Jego działalności na polu politycznym i literackim w poświęconej dobru budującego się państwa polskiego, odczuwamy obowiązek wyrazić niniejszem nasze najszczerze uznanie i podziękowanie. Do obowiązku tego poczuwamy się tem więcej, że *Wielce Szanowny Pan* to powierzone sobie, aczkolwiek nadzwyczaj trudne zadanie, z niebywałą energią i wytrwałością [wykonał], nie bacząc na brak jakiegokolwiek poparcia ze strony miejscowych kół polskich, ale nawet wbrew ich wyraźnej niechęci, wywołanej złem rozumieniem potrzeb narodowych. W przekonaniu, iż w historii odrodzenia państwa

polskiego mówcza praca *Wielce Szanownego Pana* znajdzie należyłą cenę, kreślą z poważaniem: Stanisław Rybicki, W. Ziolkiewicz, Stefan Thiel, W. Nowacki w imieniu Towarzystwa PPS w Berlinie¹¹.

Cztery lata ciężkiej pracy fatalnie odbiły się na wątłym zdrowiu Feldmana. Co gorsze, po powrocie do kraju spotkała go przykrość, która okazała się być przysłowiową ostatnią kroplą w czarze goryczy. Otóż miał pracować dla ministerstwa spraw zagranicznych. Spotkał się tu jednak z wrogością i zarzutami germanofilstwa. Ponieważ był osobą nastawioną sceptycznie zarówno do Rosji, jak i do demokracji zachodnioeuropejskich, przestrzegano przed nim ministerstwo jako przed osobą niegodną zaufania. Podobno wiele wysoko postawionych osób widziało krzyczącą niesprawiedliwość w traktowaniu Feldmana, nikt jednak otwarcie nie udzielił mu wsparcia.

„Pamięci Wilhelma Feldmana”

Zgorzkniały i zrozpaczony, postanowił wrócić do Krakowa, gdzie zaczął pisać swoje ostatnie dzieło *Niemcy w latach 1914–1918*, którego już nie dokończył. Pobyt na wsi miał pomóc mu wrócić do zdrowia i ukoić nerwy, wraz z rodziną wyjechał więc do Rabki. Tam jednak zarazili się czerwonką, chorował najpierw siostrzeniec, potem syn Józio, na końcu sam Feldman. Dzieci wyzdrowiały, ale jego serce niestety nie poradziło sobie z chorobą. Do końca konsekwentny, na łożu śmierci zmienił wyznanie, przyjmując chrzest. Zmarł 25 października 1919 roku.



Józef Feldman ok 1939 r. Zdjęcie z archiwum rodzinnego

Berlin dnia 6^{go} czerwca 1918

Wielki Panowny Penci Feldeman!


Powrotowi zaminem opuszczenia przez Wielce
 Przewodnego Pana tubajęj plerówki, prerokij i
 sproszykij jego birtelności na polu politycznym
 i literackim w powiazanij dobru budujacego się
 państwa polskiego, otrawiony obowiazek wyprasi
 ministrem Wielce Przewodnemu Panu nasu naj-
 serwiesze uznani i podziękowani.

Do obowiazku tego porawamy się, kom wzięj, że
 Wielce Przewodny Pan spłnit to porawienie cotic,
 antekolwistę nadwierzaj traktie radem, z mioty-
 wistę energii i wytrwalosci, mi bierze na brę
 jakiegos'kolwistę popawia ze strony miyżecznych
 kół polskich, ale nawet wbrew ich wyprasi
 miichęj, wywołanij i tem zrozumiem
 potrzeb narostowych.

W przekonaniu, iż w historii stworzenia
 państwa polskiego, musiera praca Wielce
 Przewodnego Pana majtci nalezytę crenę, kreślę
 z powracaniem:

Stanisław Rybicki, Włodzisław
 Stefan Thiel, M. Nowacki.

W imieniu Towarzystwa P.P.S. w Berlinie



Pismo do W. Feldmana z Towarzystwa PPS w Berlinie

Trzy lata po jego śmierci rodzina i przyjaciele wydali książkę pt. *Pamięci Wilhelma Feldmana* (Kraków 1922, Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie). Celem, jaki im przyświecał, było oczyszczenie imienia zmarłego. Koszt wydawnictwa poniosła jego żona, a wspomnienia spisali m.in.: Jan Baudouin de Courtenay, Filip Eisenberg, Jan Kasprówic, Stanisław Przybyszewski, Władysław Sikorski, Leopold Staff, Wacław Szymanowski, Stefan Żeromski. Książka jest wspaniałym dokumentem pod względem biograficznym i historycznym. Każdy artykuł tam zamieszczony jest niesłychanie cenny, a zdarzają się również takie perełki jak historia z czasów organizacji Legionów Polskich w 1914 roku, którą opisał generał

Władysław Sikorski (wówczas generał broni Wojska Polskiego): *Nadszedł sierpień, wybuch wojny, wymarsz, gorączkowa praca organizacyjna. Zauważono, że Feldman znikł; z początku nie wiadano, co się z nim stało; a tam ktoś z poszukujących go przez kilka dni daremnie odkrył go w koszarach. Pomimo wręcz fatalnego zdrowia i braku sił fizycznych odbywał z zapalem wszystkie ćwiczenia żołnierskie. Nie widział niedowierzających jego kwalifikacjom militarnym spojrzeń komendanta oddziału, nie słyszał żartów młodych rześkich chłopców dokuczających tak różniącemu się od nich wiekiem i zwinnością współszeregowcowi, z zapalem oddawał się całodziennym męczącym ćwiczeniom, posłusznie wypełniał*

rozkazy 17- i 18-letnich oficerów – żadne uwagi ani namowy nie mogły go skłonić do opuszczenia szeregów. Opuścił je dopiero na wyraźny rozkaz dowódcy, patrzącego na wyczerpujące się z każdym dniem jego wątłe siły fizyczne¹². Myślę, że ten właśnie fragment świetnie opisuje sylwetkę Wilhelma Feldmana – bojownika, człowieka nie tylko idei, ale przede wszystkim czynu.

Znikające litery

Można się zastanawiać, skąd w Feldmanie brała się nadludzka siła, dzięki której był w stanie udźwignąć ciężar nieustannego bycia *persona non grata* – gdziekolwiek się pojawił. Doktor Filip Eisenberg, wspominając zmarłego, wskazywał, że to żona Wilhelma, Maria, była jej źródłem: *Związek z tą kobietą, obdarzoną niezwykle zaletami umysłu, a zarazem charakterem prawym i dzielnym, z męskim hartem umiejącym czoła stawiać przeciwnościom losu, był jednym z nielicznych jasnych punktów w tem życiu skołatanem i przepojonem goryczą. Jej wysoka inteligencja i wnikliwość pozwoliły jej odczuwać, rozumieć i wspierać wszystkie jego prace literackie i publicystyczne, jej bystry i głęboki sąd o ludziach i stosunkach często był mu pomocny, nade wszystko zaś jej ofiarne oddanie się sprawom jego życia, bez szemrania dzielące jego ciężką dolę, zdolne do poświęceń i samozaparcia się, było dlań źródłem siły i pociechy w chwilach prób życiowych, których los mu nie szczędził. (...) Małżeństwo Feldmana było w najszczytniejszym tego słowa znaczeniu wzorowem – oparte na bezgranicznej miłości, wzajemnem poświęceniu i zrozumieniu, na najpiękniejszej harmonii duchowej, jak można wymarzyć. Jako mąż i jako ojciec Feldman nie znał granic w swych uczuciach, był tkliwy, serdeczny, szczerzy – a jak dzielił całe swe życie duchowe z żoną, tak był najtroskliwszym opiekunem dla rozwijającego się życia umysłowego swego syna¹³.*

Jeżeli chodzi o biografię Marii Feldmanowej, niestety wiadomo niewiele. Była niebywale płodną tłumaczką; przetłumaczyła na język polski dzieła Oscara Wilde'a, Multatulego, Hall Caine'a, Jakoba Wassermannna, Rudyarda Kiplinga, Ralpha Waldo Emersona, Henrika Ibsena, Johna Ruskina, G. de Maupassanta, Daniela Defoe, Jacoba Burckarda, Thomasa Hardy'ego, Mar-

ka Twaina i Charlesa Dickensa. Używała pseudonimów: Maria Kreczowska lub Eliza Warzycka. Nieoficjalnie pomagała również mężowi w jego pracy publicystycznej, prowadziła np. sekretariat czasopisma „Krytyka”.

Maria i Józef Feldmanowie przeżyli II wojnę światową. Józef, jeszcze przed okupacją, został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierował katedrą Historii Nowożytnej. W czasie wojny ukrywał się w klasztorze franciszkanów w Hanaczowie koło Lwowa. Długo chorował na serce, w 1946 roku zmarł. Maria Feldmanowa przeżyła Wilhelma o 28 lat, zmarła w 1953 roku.

Wszyscy troje pochowani są w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Rakowickim w kwaterze 33 II. Na płycie piaskowca umieszczono ich imiona, nazwiska, daty urodzin i śmierci w formie liter i cyfr – każdy znak osobno. Niestety, na Rakowicach metalowe elementy są łakomym kąskiem dla okolicznych zbieraczy złomu. „Wilhelm Feldman”, największy napis na grobowcu, skradziony został w całości. Gdyby nie odbity na płycie zarys liter, nikt nie wiedziałby, że tam jest pochowany.

PRZYPISY:

- 1 A. Jazowski, *Wilhelm Feldman w: Literatura okresu Młodej Polski*, Kraków 1977, Wydawnictwo Literackie, ss. 275–308
- 2 *Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny*. Tom I A–M. Warszawa 1984, PWN, s. 254
- 3 A. Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Kraków 1974, Wydawnictwo Literackie, s. 136
- 4 T. Boy-Żeleński, *O Krakowie*, Kraków 1968, Wydawnictwo Literackie, s. 168
- 5 Tamże, s. 391
- 6 Tamże, s. 491
- 7 M. Tomczyk-Maryon, *Wyspiański*, Warszawa 2009, Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 238
- 8 S. Żeromski, *Wspomnienie, w: Pamięci Wilhelma Feldmana*, praca zbiorowa, Kraków 1922, Drukarnia Narodowa, s. 167
- 9 *Listy Stanisława Wyspiańskiego różne do wielu adresatów*, Kraków 1998, Wydawnictwo Literackie s. 282
- 10 Tamże, s. 281
- 11 List przedstawicieli TPPS do W. Feldmana, z archiwum rodzinnego
- 12 W. Sikorski, *Feldman – legionista*, w: *Pamięci Wilhelma Feldmana*, praca zbiorowa, Kraków 1922, Drukarnia Narodowa, s. 158
- 13 F. Eisenberg, *Wilhelm Feldman. Szkic biograficzny*, w: *Pamięci Wilhelma Feldmana*, praca zbiorowa, Kraków 1922, Drukarnia Narodowa, ss. 19–20

Włodzimierz Lewik

Lwowskie rymy

Do druku podała Karolina Grodziska



My chcemy mieć swoją miss

Co krok, co miasto – urzędowa piękność,
Krzyk, fotografie, długie szpalty słów.
Upadaj plackiem i bukietów pęk noś!
Tak, proszę państwa. A u nas? A Lwów?

Do wszystkich diabłów! Czas skończyć już
raz z tem,
Czas, by nareszcie smętek ziemię gryzł,
By Lwów od innych nie gorszym był
miastem –
My chcemy także dziś mieć swoją „Miss”!

Młodo, z impetem, na udry, do mety,
A zobaczmy, kto więcej jest wart,
Czy są na świecie piękniejsze kobiety –
Więc szkoda czasu! Gong! Panie na start.

Co krok, co miasto, urzędowa piękność,
Aż ból mi serce rozżalony ścisł.
Upadaj plackiem i bukietów pęk noś.
A my? My chcemy mieć też swoją „Miss”.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 40 z 10 II 1929 r.,
s. 7. Sąsiadujący z wierszem artykuł nosi tytuł:
„Po kłęsce miss Polonii”.

Gramofon

Dźwięczna możliwość zastygła w membranie,
A kiedy zgrzytnie stal po sercu – płycie,
To – cierpliwości, Panowie i Panie,
Ustami tuby głos jego słyszycie.

Stal zbyrcząc z szumem zjeżdża z toru na tor,
Membrana drży wyczarowaniem tonu,
To dyszy on – wszechgłosów imitator,
To grubo charczą płuca gramofonu.

Wszystko wam wygra, tylko płyt nanieście,
On – połowica rejentów bezżennych
I starowinek w powiatowym mieście.

On – na komodzie, jak sprzęt drogocenny,
Dla wielu – jabłko z ogrodu Hesperyd,
Przyjaciół nudy – pocziwy emeryt.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 136 z 19 maja
1929 r., s. 9. Sonet poświęcony staroświeckie-
mu przedmiotowi codziennego użytku – równie
niezwykły jak myśl, by w dzisiejszych czasach
napisać sonet o magnetofonie kasetowym i uro-
ku kaset.

Autobus

To właśnie metalowe pudło
Podbiło dzisiaj cały globus,
Przedziwnych dreszczów istne źródło
I upiór bitych dróg: autobus.

Jak kundys warczy, zgrzyta, chrzęści,
W tumanach pyłu łeb kolebie,
A stawać lubi jak najczęściej
I bryknąć chytrze, rżąc jak żrebię.

To wlecze się – ospała mucha,
To znowu skoki dziwne czyni,
Wstrząsając treścią swego brzucha,
Gdy zbliży się nareszcie *finish*.

Lecz wszystko w świecie gdzieś coś kończy,
Skazańców zwykle kat, a strofa
Mych słów zgryźliwych potok rączy –
Autobus zawsze – katastrofa.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 197 z 21 lipca
1929 r., s. 7.



Turniej poetów

To za mało, za mało – o rety!
Trzeba jeszcze złościć i górniej,
Narobiły tumultu „poety”
Przywabiły ludzisków na turniej.

Nie na kopie, topory i lance –
Ostrze żywot doczesny przewierca;
A gdy słowem – pociskiem grzmia stance,
Słowo w wieczność szturmuje – do serca.

Trzeba kochać, przeklinać i płakać,
Niech rytm w serca uderza, jak młotem,
Takie prawo i dola już taka’ ć,
Trzeba budzić do życia martwość.
Ale mocniej, serdziej – o rety!
Czas uśmiercić już żywot niemrawy.
Do roboty, panowie „poety”
I zakasać junacko rękawy.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 82 z 24 III 1929 r., s. 7. Turnieje młodych poetów były obyczajem literackim. W 1927 r. (21 V) zorganizowano taki pod patronatem prof. J. Kleina (jednym z uczestników był Lewik), zwyciężył zespół krakowski. W 1929 r. (21 III) w turnieju uczestniczyło 278 autorów, nagrody pierwszej nie przyznano, drugą nagrodę otrzymał Włodzimierz Lewik za wiersze: *Nawrócenie pokorne, Pogrzeb, Park w Beńkowej Wieszni*.

Radio

Rzym śpiewa słodko (dolce) „Cara mia”,
Trach – tatarach – trach: grzmi burza
w Londynie,
Powietrzem smuga rozdzwoniona płynie,
Tchnie dźwięk antenom – i mija, i mija.

W Warszawie perli ktoś na mandolinie,
Aż spazmem szłocha głośnikowa szyja,
A drut melodię z powietrza wypija
Nim przytłumiona, w dal ciszą przemienie.

Tak, to są znane ogólnie już rzeczy:
Fala, co śpiewa i płynie wciąż dalej.
Choć czasem smętnie w głośniku zaskrzeczy.

O! jakże byśmy miłośnie słuchali,
Gdyby choć jeden, jeden głos człowieczy
Drgnął w aparacie z naszej, lwowskiej fali.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 105 z 17 IV 1929 r. Ciekawe: ta tęsknota za lwowskim „głosem człowieczym” z radia nieznacznie wyprzedza zarówno podjęcie w radiu pracy przez autora wiersza, jak i wielkie sukcesy Wesołej Lwowskiej Fali, nadającej od lipca 1933 r. na całą Polskę.

List do...

Więc to Was gnębi, że długo nie piszę,
Że się tu wielki zrobił ze mnie pan –
A ja naprawdę żyję coraz ciężej
I „błogosławie” dziennikarski stan.

Bo to nie sztuka pół dnia siedzieć w biurze
I w nosie dłużyć przez drugie dnia pół.
Chciałbym ja widzieć, jak by w mojej skórze
Ów pan „od biurka i nosa” się czuł.

I tak od rana do nocy i co dnia,
Gdzie co się stało – wywuchuj jak chart,
Byś czytelnikom świecił, jak pochodnia,
Żebyś się nigdy nie późnił na start.

A nocą wszystkie codzienne wywiady
Drepczą mnie we śnie: ach, la vie est triste!
Budzę się nagle wymęczony, błądy
I jakże do Was napisać mam list?

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 173 z 26 VI 1929 r., s. 6.

Maturzystom

Dla was – część *Dziadów* czwarta
I koniugacyj szereg,
A dla nas – pani Marta,
Słodziutka jak cukierek.

Sejm dla was, Złota Bulla
I bitwa pod Raszynem.
A nas tak maj rozczula
I buteleczka z winem.

Wam cosinusy, całki,
2 pi r kwadrat z kreską
A dla nas łyk gorzałki
I w głowie – fiut – niebiesko.

Cezary wam, Pliniusze
Quousque Catilina.
A nam drzew pióropusze.
Na niebie wiatr rozpina.

O – dla was stół zielony
I oniemiała trema.
Nam miłość, maj, androny
I myśl, że nas tam nie ma.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 148 z 1 VI 1929 r.,
s. 7.

Jedziemy do szkoły

A zatem w płaszcza zawijam się poły,
Odprowadzicie mię chyba na stację:
Mam lat piętnaście i jadę do szkoły,
Bądźcież mi zdrowe, kochane wakacje.

Uwożę z sobą złocistych dni marę,
Wieczory wonne i noce ze srebra.
Jutro się czule przywitam z Cezarem
I dłoń kościstą poda mi algebra.

A potem ciągle te same godziny,
Którym już żaden nie pomoże protest,
I straszne dwójce: z historii, z łaciny
I wróg: katalog klasowy – i notes

I tylko czasem rozplączą się chwile
Niezapomnianą, rzewliwą kantatą
Kiedy w zeszytcie „literackim stylem”
Opiszę smętnie „jak spędziłem lato”.

Dedykacja

Dla Was pisałem te słowa najprostsze
Kochani moi... ten wiersz niewesoły
Może opowie, jak bardzo zazdroszczę
Wam, którzy jeszcze chodzicie do szkoły.
Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 238 z 31 sier-
pnia 1929 r., s. 6.

Żegnaj się z Lwowem

Dosyć! Nareszcie! Wystarczy już chyba,
Świat mi we Lwowie do reszty już zbrzydł.
Wzdycham ku polom, jak ku wodzie ryba,
Albo do ryby – oczywiście – Żyd.

Udrękę ulic puszczam wreszcie kantem,
Tramwaje, auta, kawiarnie i szyk,
Albowiem w lecie jestem obskurantem
I żyję niby prawowierny dzik.

Żegnajcie zatem, choć trochę was żal mi
Rozkosze miejskie – dziś w sercu mi pstro
I dusza mi się zielenią wypalmi
Co najmniej – wierzcie – aż po oka dno.

A rivederci! Cześć! Najniższy sługa,
Kochany Lwowie – na lato bądźź zdrów,
A muza wnet ci coś rymem wystruga
W najbardziej wzniosłem z wszystkich pol-
skich słów.

Pierwodruk: „Słowo Polskie”, nr 180 z 4 VII
1929 r., s. 6.



Wspomnienie o Mieczysławie Hellerze

Moim dziadkiem był Józef Heller, funkcjonariusz kolei państwowych, ożeniony z Kazimierą Kamińską. Jego synem, a ojcem moim, mojego brata Mieczysława i siostry Zofii, był Gustaw Heller, ur. w 1899 r. we Lwowie.

Nasz ojciec, Gustaw Heller, mając 16 lat wstąpił jako ochotnik do Legionów. W 1918 roku, podczas przedostawania się do Legionów do Rosji, dostał się do niewoli austriackiej i został osadzony w więzieniu na Węgrzech. Po wyjściu z więzienia został wcielony do wojska austriackiego do 130 pp i wysłany na front włoski. Tam został raniony granatem i wzięty do niewoli włoskiej. Po wyleczeniu zgłosił się do formujących się oddziałów polskich, które zostały przeniesione do Francji. W 1920 roku powrócił do Polski wraz z armią gen. Hallera. Brał czynny udział w walce z Ukraińcami na Wołyniu i z polskim wojskiem doszedł do Kijowa. Podczas odwrotu został po raz trzeci ciężko ranny. W 1922 roku, po sześciomiesięcznym pobycie w szpitalu, mając 23 lata, został odznaczony orderem *Virtuti Militari* za męstwo i na skutek znacznej utraty zdrowia zwolniony ze służby wojskowej, w stopniu bombardiera.

Matka, Agata z Koreckich, zajmowała się domem wychowując troje dzieci: Mieczysława, Zofię i mnie. Mieczysław urodził się w 1929 r. w Dolinie, gdzie ojciec po zakończeniu I wojny światowej pracował jako rzemieślnik, mając uprawnienia zdobyte przed wojną w zakładzie ślusarstwa artystycznego pana Konopki. Po pewnym czasie rodzina Hellerów przeniosła się do Lwowa. Początkowo Hellerowie mieszkali w swoim domu, na Zo-

fiówce, blisko willi malarza Sichulskiego. Po II wojnie światowej rodzina utraciła dom i zamieszkała u kolegi Gustawa, pana Kazimierza Dąbrowskiego, przy ul. Gajdara. Trójka dzieci zaczęła się kształcić.

Mieczysław Heller uczęszczał do szkoły nr 10 im. św. Marii Magdaleny we Lwowie, gdzie zdał maturę. Nie mogąc kształcić się dalej ze względu na ciężkie warunki materialne, musiał iść do pracy. Jego młodzieńczą pasją była piłka nożna. Mieszkając blisko boiska Czarnych, rozpoczął treningi w tej drużynie, a że był dobrym zawodnikiem, wyjeżdżał z zespołem do różnych miast. Był tak dobry, że dostał pochwałę od samego... Józefa Stalina!

Przyszedł czas na ustatkowanie się i założenie rodziny. Mieczysław ożenił się z Darią z Konefrów, która pracowała jako księgowa w Instytucie Naukowo-Doświadczalnym. Mieczysław pracował jako trener w klubie Dynamo Lwów. Pracując, zapisał się na studia wieczorowe na AWF i ukończył je jako magister wychowania fizycznego, a także uzyskał uprawnienia sędziego piłki nożnej. Niestety młodzi Hellerowie nie mieli własnego locum, mieszkali w wynajmowanym mieszkaniu, a kiedy wzięli mieszkanie „na spółkę”, ciężko pracowali, aby spłacić długi.

Nie mając dzieci, Mieczysław znalazł swoje miejsce w działalności społecznej i sportowej. Wielokrotnie sędziował mecze piłki nożnej we Lwowie, a także innych miastach. Należał do Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, był też w zarządzie Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Wielką pasją Mieczysława Hellera był śpiew. Przez 35 lat był członkiem chóru katedralnego, który uświetniał śpiewem uroczystości kościelne i patriotyczne. Swoją patriotyzm uewnętrzniał biorąc udział m.in. w oczyszczaniu Cmentarza Orłąt Lwowskich oraz we wszystkich akademiach poświęconych



Konstytucji 3 Maja, świętu Niepodległości 11 Listopada, w uroczystościach odbywających się na Cmentarzu Obrońców Lwowa, w Hucie Pieniackiej, w uroczystym otwarciu Cmentarza Orłąt Lwowskich, w odsłonięciu nowego pomnika pomordowanych polskich profesorów na Wzgórzach Wuleckich. Z własnych zasobów kupował co roku 300 zniczy i zapalał je na Cmentarzu Łyczakowskim

W 2002 roku zmarła żona Daria i Mieczysław czuł się bardzo osamotniony. Aby zapomnieć o swojej samotności, jeszcze bardziej poświęcił się pracy społecznej. W dalszym ciągu występował w chórze Lutnia, pomagał ks. Markowi w budowie kościoła pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy na Zboiskach i ks. Wiktorowi przy budowie kościoła w Rzęsnej. Ufundował obraz św. Siostry Faustyny dla tego kościoła. Wspierał także finansowo kościół Matki Boskiej Milatyńskiej, św. Antoniego we Lwowie, pracował osobiście przy remoncie kościoła w Nowojaryczewie, przygotowując także pracownikom narzędzia pracy. Ciągle jednak było mu „mało”. Postanowił zostawić coś po sobie, coś, co będzie ukoronowaniem jego pracowitego życia – pomnik ku chwale Ojca św. Jana Pawła II. Zgodę na posadowienie pomnika przy kościele pw. Miłosierdzia Bożego w Rzęsnej wydał ks. Wiktor, proboszcz parafii.

Skąd Mieczysław Heller wziął pieniądze na taki cel?

Fundator pieniądze na budowę pomnika zdobył, odkładając co miesiąc pewną kwotę ze swej emerytury. Zbierał także latami makulaturę, a pieniądze ze sprzedaży odkładał na „jakiś” cel, którym okazał się pomnik naszego Papieża. Na odsłonięcie pomnika przyjechał ks. bp Marian Buczek, który wy-



Wanda Heller-Dutkiewicz z bratem – Mieczysławem Hellerem przed pomnikiem Jana Pawła II.

głosił okolicznościową homilię podczas uroczystej mszy św. oraz dokonał poświęcenia pomnika. W uroczystości wzięli udział także księża z innych parafii i setki wiernych, a chór Lutnia uświetnił swym śpiewem uroczystość. Uczestniczący w poświęceniu pomnika Jana Pawła II Konsul Generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd uhonorował Mieczysława Hellera za zasługi na rzecz podtrzymywania polskości Medalem Jubileuszowym 25-lecia powstania polskiej placówki konsularnej we Lwowie, a Złotą Odznaką Za Zasługi dla Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej wręczył mu prezes Emil Legowicz.

Mieczysław Heller był człowiekiem bardzo wierzącym, czytał książki i prasę katolicką. Chodził w niedzielę do kościoła św. Marii Magdaleny i często zostawał po mszy św. zatopiony w modlitwie. Zapytany przez mnie, dlaczego jeszcze zostaje na modlitwie, odpowiedział: *„Dużo opuszczałem mszy św., gdy byłem graczem a potem sędzią i wyjeżdżałem na mecze w niedzielę. To moja pokuta.*

Po czterech miesiącach choroby Mieczysław Heller zmarł w niedzielę 5 marca 2017 roku. Mamy nadzieję, że na progu nieba przywitał go nasz Ojciec Święty Jan Paweł II.

Opracowała: Barbara Ołasińska

Konsul Generalny RP we Lwowie wręcza medal Mieczysławowi Hellerowi.



Czasy świetności i zagłady jednej z najbardziej okazałych rezydencji w Zamku na Ziemi Lwowskiej

Na Rostoczu, 15 km na południowy wschód od miasta Rawa Ruska, znajdują się dobra ziemskie, które niedługo po utworzeniu województwa bełskiego w roku 1462 otrzymała szlachecka rodzina Magierów. Być może pojawienie się tego rodu na krańcach nowego województwa łączyć można z kolonizacją tej części Rusi Czerwonej za sprawą książąt mazowieckich, którzy dzierżyli te ziemie jako swoje lenna. Wszak nazwa jednego z ważniejszych miast województwa bełskiego, Rawy Ruskiej, świadczy o jego mazowieckim pochodzeniu. Widocznie osadnicy przyszedli tu z Rawy Mazowieckiej i nowy ośrodek, który założyli, zachował część macierzystej nazwy Rawa.

Można założyć (ale wymagałoby to dalszych badań), że Magierowie przybyli na wyludnione ziemie ruskie z Mazowsza, a za zasługi oddane księciu mazowieckiemu lub też królowi polskiemu nagrodzeni zostali znacznym obszarem ziemskim.

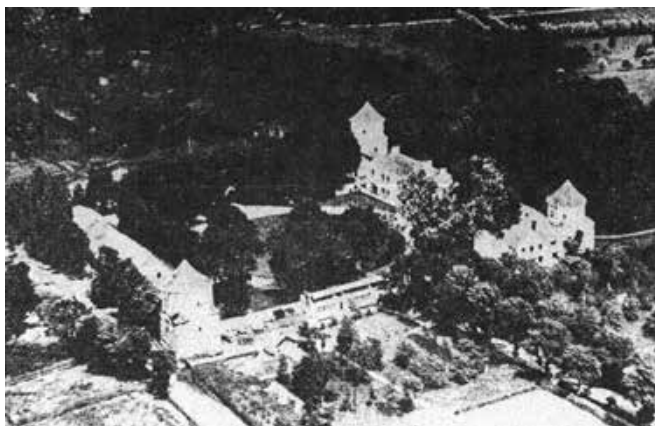
Ziemie, tu rzadko zaludnione, straciły większość ludności na skutek nieustannych najazdów tatarskich. Tatarzy niemal co roku najeżdżali te ziemie, grabiąc cenniejszy dobytek i puszczając z dymem wsie i miasteczka. Najcenniejszą zdobyczą, którą pędzili na Krym, była ludność, zwłaszcza młode kobiety i mężczyźni, których sprzedawali za dobre pieniądze na targach niewolników w imperium otomańskim.

Zagospodarowanie zniszczonych przez najazdy tatarskie obszarów

było rzeczą niełatwą, ale też i niebezpieczną, bo kiedy kolejny rajd koczowników nie wszystko zniszczył, państwo, choć rosnące w siłę, nie dawało sobie rady z najazdami agresywnych sąsiadów, zresztą nie tylko Tatarów, także Wołochów, Moskwy, a nawet Węgrów. W sytuacji nieustannego zagrożenia więksi właściciele ziemscy musieli brać sprawy w swoje ręce, wznosić od nowa bądź też odbudowywać zniszczone grody obronne.

Magierowie rezydowali w gródku obronnym, który nazywany był Zamkiem. Tylko wykopaliska archeologiczne mogłyby potwierdzić, czy zbudowali ów gród od podstaw czy tylko odbudowali istniejące wcześniej umocnienia obronne.

Po śmierci ostatniego męskiego potomka rodu Magierów, Jana, w 1567 r. jego córka Barbara wychodzi za mąż za Bełżeckiego, wnosząc w posagu cały majątek Magierów, który z kolei odziedziczył syn tej pary, Jan Bełżecki.



Zamek, widok rezydencji Siemińskich z lotu ptaka. Zdjęcie sprzed 1939 r. Być może wykonał je ostatni właściciel, hr. Jan Siemiński, kiedy przelatywał nad swoją rezydencją sportową awionetką ze Lwowa. Z lewej strony czwarta baszta, którą odbudowano po zniszczeniach z czasów I wojny światowej do wysokości I piętra.

Jak możemy przypuszczać, był to człowiek przedsiębiorczy i energiczny. Aby zwiększyć dochody, w roku 1591 zakłada od podstaw, czyli na tzw. surowym korzeniu, miasteczko, które na cześć swoich przodków nazywa Magierowem. I dopiero od końca XVI wieku cały majątek Bełżeckich, a później ich następców nazwany będzie dobrami magierowskimi. Jednak Magierów, położony w odległości 2 km od Zamku, nigdy nie stanie się tu większym miastem, być może dlatego, że położony był w niedalekiej odległości od takich ośrodków miejskich jak Rawa Ruska czy Żółkiew.

Jak podaje autor bardzo dokładnego opracowania G. Rąkowski (*Przewodnik po Ukrainie Zachodniej, cz. III. Ziemia Lwowska*), od którego zaczerpnąłem wcześniejsze informacje, król Zygmunt III zatwierdził w r. 1595 dokument lokacyjny Jana Bełżeckiego, a ten ostatni w tym samym roku ufundował tam parafię katolicką. W Magierowie zachował się kościół katolicki pw. św. Trójcy z połowy XIV wieku, który obecnie używany jest jako magazyn położony na skraju prostokątnego rynku. Nieliczni Polacy, katolicy, zbierają się na nabożeństwie w stylowej kaplicy na zaniedbanym cmentarzu.

Na pytanie, dlaczego, jak w tysiącach miejscowości kresowych, kościół nie wrócił w ręce katolików, mogą być dwie odpowiedzi. Być może władze miejscowe nie zgodziły się na zwrot zabytkowej świątyni. A może katolicy nie zabiegali o odzyskanie kościoła, gdyż obawiali się, że nie udźwigną odbudowy i utrzymania kościoła, którego wnętrze zostało zdewastowane w latach Związku Sowieckiego, kiedy w kościele ulokowano zakład przemysłowy.

Jednak głównym przedmiotem naszego zainteresowania pozostaje znacznie starszy od Magierowa Zamek, w którym od chwili gdy gród stał się własnością Magierów, aż do 1939 roku rezydowali właściciele majątków, którzy dosyć często się zmieniali. W rękę Bełżeckich były od połowy XVII wieku, później po kolei władali nimi Głogowscy, Markowscy, którzy w połowie XVIII stulecia sprzedali go Wilhelmowi Siemieńskiemu. Odtąd, z krótką przerwą w XIX wieku, Zamek i dobra magierowskie aż do 1939 r. pozostały w rękach Siemieńskich.



Pałac w Zamku imponował swoimi rozmiarami, zewnętrzną architekturą nie przedstawiał się tak korzystnie. Być może dlatego, że wpisany został w ramy wcześniejszego zamku z czterema basztami, murami obronnymi, wałami ziemnymi i fosą. Widać wyraźnie, że do głównego korpusu dobudowano część z arkadami.

Chociaż warowny gród i dobra ziemskie przechodziły z rąk do rąk, kolejni właściciele musieli dbać o Zamek, bo napady tatarskie zdarzały się nierzadko – również w XVIII wieku. Dobry stan umocnień warownych Zamku w razie zagrożenia zapewniał bezpieczeństwo nie tylko właściciela, ale również okolicznej szlachty i chłopów.

Niektórzy autorzy podają, że umocnienia obronne Zamku oparły się Kozakom pod wodzą Chmielnickiego, którzy spustoszyli ogniem i mieczem niemal połowę ogromnego terytorium Rzeczypospolitej Obojga Narodów, powodując dla państwa polsko-litewskiego ogromne straty. Nie jest to jednak informacja w pełni wiarygodna. Nie ulega wątpliwości, że pod Magierowem, zapewne pod Zamkiem, 11 lipca 1657 r. Stefan Czarniecki, znakomity dowódca, stoczył zwycięską bitwę z wojskami księcia siedmiogrodzkiego Jerzego Rakoczego, które powracały do swego kraju z łupieżczą wyprawą. Rabusie wieźli z sobą ogromne łupy w postaci złota, klejnotów, dzieł sztuki, załadowanych na prawie dwóch tysiącach wozów konnych. Łup ten odbity został przez żołnierzy Czarnieckiego, uwolniono również znaczną liczbę jeńców. Nie można wykluczyć, że w zwycięskiej bitwie z rabusiami z Siedmiogrodu uczestniczyła również załoga fortecy Zamku. A może brała również udział w pościgu za częścią oddziałów Rakoczego, które po kilku dniach pościgu zostały rozbite i zmuszone do kapitulacji pod Międzybożem na Podolu i wypłaty dużego okupu 1 240 tys. złotych.



Z prawej strony fragment pałacu z arkadami i widocznym spiczastym dachem baszty. W części arkadowej na I piętrze mieściła się duża galeria obrazów z zespołem płócien F. Smuglewicza z XVIII w., ilustrującym ważne wydarzenia z dziejów I Rzeczypospolitej. Z galerii wchodziło się do obszernej kaplicy.

Są przesłanki, że to właśnie Wilhelm Siemieński, ur. w 1722 r. w Bieczu w Małopolsce, dokonał poważnych zmian w Zamku otoczonym murami, wałami i fosą. Zamek przekształcił w wygodniejszą w użytkowaniu rezydencję w stylu nowogotyckim, nie pozbawiając go jednak walorów obronnych w postaci baszt i innych umocnień.

On też zaczął gromadzić obrazy; z cyklu zamówionych przez niego obrazów historycznych u najwybitniejszego twórcy XVIII wieku Franciszka Smuglewicza utworzył galerię malarstwa, którą pomnażali następcy. Niestety nie zachował się ani jeden obraz z cennego cyklu Smuglewicza, obrazującego ważne wydarzenia w dziejach Polski. Nie zachowała się żadna dokumentacja bogatej galerii obrazów w Zamku; wyjątkowo cenny cykl Smuglewicza został nieomal w całości zagrabiony przez wojska Rosji Carskiej w 1914 r. Roman Aftanazy podaje w swoim kapitalnym dziele o rezydencjach kresowych jedynie tytuły dwóch obrazów, które przetrwały w całości, i jeden tylko we fragmencie *Śmierć Adama Siemieńskiego pod Wiedniem*.

A oto, jak podaje R. Aftanazy, tytuły zagrabionych przez Moskali w 1914 r. dzieł Smuglewicza: *Bolesław Chrobry wbija słupy graniczne w Dnieprze*, *Wjazd Króla Bolesława do Kijowa*, *Młociany Krzywousty prosi ojca Hermana o pozwolenie*, *Krzywousty w Bambergu*, *Władysław Jagiełło pod Grunwaldem*, *Obrona Trembowli przez Chrzanowskiego*. Były też trzy większych rozmiarów kompozycje, m.in. *Żółkiewski*

z carami Szujskimi przed Zygmuntem III, *Śmierć Adama Siemieńskiego pod Wiedniem*. Z powyższego dowiadujemy się, że jeden z przedstawicieli rodu Adam Siemieński uczestniczył wraz z własną chorągwią w wyprawie wiedeńskiej i tam poległ. Obraz świadczy o tym, że Siemieńscy byli dumni ze swego przodka i kultywowali pamięć o nim. Uzasadnione jest również przypuszczenie, że do rezydencji w Zamku trafiły jakieś trofea zdobyte na Turkach przez towarzyszy broni poległego dowódcy. Pytanie, czy nie zauważył tych pamiątek wiktorii wiedeńskiej Roman Aftanazy, czy też w czasie jego pobytu w rezydencji w Zamku już ich nie było lub nie były eksponowane.

W rezydencji w Zamku były również (oprócz obrazów olejnych) zbiory grafiki, rzeźby, kobierców i dywanów wschodnich, stylowych mebli. Wydaje się jednak, że najcenniejszą częścią galerii obrazów w rezydencji na Zamku był cykl obrazów historycznych, wykonanych na zamówienie Siemieńskich przez Franciszka Smuglewicza. Jego płótna były ciekawą próbą ukazania najważniejszych wydarzeń z dziejów przedrozbiorowej Polski, z czasów jej potęgi i chwały.

Pamiętajmy, że wybitny malarz historyczny Jan Matejko (przez którego wizję artystyczne patrzymy na ważne wydarzenia i ludzi z naszych dziejów) pojawi się sto lat później.

Jakże ciekawa byłaby konfrontacja cyklu historycznych obrazów Smuglewicza z Matejką. Niestety te pierwsze, które były ozdobą galerii obrazów w Zamku, nie istnieją, zostały zniszczone, znamy jedynie ich tytuły. Nie zachowały się również fotografie obrazów Smuglewicza (o ile takie istniały).

Liczne pomieszczenia mieszkalne rezydencji, salę jadalnianą, gabinet, salon duży i mniejszy wypełniały zabytkowe meble, kobierce, porcelana, srebra z różnych epok. Niezastąpiony Roman Aftanazy w swym epokowym dziele *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej* (t. VII: *Wojwództwo ruskie*) podaje, że były tam meble w stylu Ludwika XV z brązami, Ludwika XVI i Ludwika Filipa; były to komplety mebli wysokiej klasy, sprowadzane z najlepszych warsztatów europejskich. Były także kom-

plety nowszych mebli. Do pierwszej wojny światowej ściany pokrywały tapety lub obicia materiałowe. Układane w duże kwadraty posadzki wykonane były z dębu. Wyposażenie uzupełniały liczne żyrandole brązowe lub brązowo-kryształowe.

Ogromny (80×80 m) dziedziniec zamkowy, utrzymywany jako gazon strzyżony z klombami kwiatowymi i kilku wiekowymi drzewami, ozdobiono ok. połowy XIX w. kamiennymi posągami wybitnych Polaków przywiezionych z zamku z niedalekiej Żółkwi. Były tam m.in. posągi króla Jana III Sobieskiego, jego ojca Jakuba, Karola Radziwiłła i hetmana Żółkiewskiego.

Posągi te wykonane zostały przez wybitnych artystów rzeźbiarzy. Całe to ogromne bogactwo, cenne ze względu na walory artystyczne, a także historyczne, zostało rozgrabione, wywiezione w głąb Rosji lub zniszczone w czasie I wojny światowej. Tylko skromne resztki zostały z galerii obrazów, z której Siemieńscy mogli być dumni.

Dokładny, jak zwykle, Aftanazy zanotował, że z wyjątkowo cennego cyklu historycznych obrazów pędzla Smuglewicza ocalały tylko trzy: *Wjazd Króla Bolesława do Kijowa*, *Krzywousty prosi ojca o pozwolenie...*, *Krzywousty w Bambergu* oraz część obrazu *Śmierć Adama Siemieńskiego*. Uratowano też kilka portretów rodzinnych z XVIII i XIX wieku, kilkanaście kolorowych sztychów o tematyce końskiej i myśliwskiej, francuskich, angielskich, sporo makat buczackich, złożone brązy w postaci kandelabrow i żyrandoli oraz pojedyncze meble.

* * *

O losach rezydencji w Zamku w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu rozmawiałem z dawnym mieszkańcem wsi Zamek, Tadeuszem Materną:

Panie Tadeuszu, proszę powrócić do lat młodości, kiedy jako nastolatek na polecenie ojca przychodził pan do hrabstwa Siemieńskich, kiedy przekraczał pan progi ich wspianej rezydencji.

Z rodziną hr. Siemieńskich byli zaprzyjaźnieni moi rodzice. Ojciec mój Stanisław prowadził we wsi Zamek zakład ślusarsko-mechaniczny, świadczący usługi dla okolicznych rolników, przede wszystkim jednak dla folwarków hr. Siemieńskiego. Nasza rodzina, a także inni mieszkańcy wsi Zamek, w tym grekokatolicy, przychodzili w niedzielę i święta na nabożeństwa do dużej kaplicy, usytuowanej na I piętrze pałacu. W nabożeństwach brali udział właściciele hr. Jan Siemieński, jego żona Natalia z Tyszkiewiczów i dwoje ich dzieci, córka Maria i syn licealista Stanisław.

To ciekawy przyczynek do charakterystyki właścicieli Zamku. W tym czasie (lata trzydzieste) nasilał się na Kresach konflikt polsko-ukraiński, stało się tak na skutek antypolskiej działalności Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), wspieranych przez państwo niemieckie, które szkoliło potajemnie, m.in. w Gdańsku, członków OUN do działalności terrorystycznej, zasilalo ich w broń i inny sprzęt wojskowy. Członkowie OUN dokonywali zamachów na patriotów polskich, rzeczników porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami. OUN był takiemu porozumieniu zdecydowanie przeciwny, próby nawiązania kontaktu z nacjonalistami były odrzucane. W zamachach przygotowy-



Jedna z baszt o murach metrowej grubości, w której mieściła się biblioteka Siemieńskich, w sposób barbarzyński zniszczona przez Armię Czerwoną jesienią 1939 r.

wanych przez Stefana Banderę i jego współpracowników zginęli m.in. minister spraw wewnętrznych Bolesław Pieracki i poseł na Sejm Stefan Hołówko. OUN mordował również Ukraińców, którzy podejmowali współpracę z władzami polskimi. Głośnym echem odbiła się na Kresach podjęta przez nacjonalistów ukraińskich akcja palenia dworów, a także zbiorów należących do Polaków. Marszałek Piłsudski nie mógł patrzeć na bezkarność nacjonalistów i ulegając także prośbom uszkodzonych polecił, aby przeprowadzić pacyfikację obszarów, na których OUN szczególnie rozwijała antypolską działalność. Akcja ta jednak była krytycznie oceniana w kraju, a jej przeciwnicy ze strony polskiej uważali, że przyniosła ona wiele szkód.

W takiej niepozbowionej napięć sytuacji właściciel Zamku nie zamknął kaplicy zamkowej dla ludzi ze wsi, ani Polaków, ani Ukraińców, co mogło łączyć się z poważnym niebezpieczeństwem. Miał zaufanie do okolicznych rolników i oni też odwdzięczali się rodzinie Siemieńskich swoim zaufaniem.

Po tej dygresji wracamy do przerwanej opowieści Pana Tadeusza Maternów:

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. i ustabilizowaniu sytuacji w kraju, kiedy produkcja rolna w zrujnowanych folwarkach zaczęła powoli przynosić dochody, Siemieńscy podejmowali wysiłki zmierzające do odbudowy zniszczonych obiektów gospodarczych, a także rezydencji,

by przynajmniej częściowo odzyskała dawny blask. Nie było to łatwe, wymagało dużych pieniędzy, wielu zabiegów i cierpliwości. Nie udało się odtworzyć wspaniałej galerii malarstwa, na skutek wywiezienia i zniszczenia większości obrazów. Stopniowo odnowiono większość pomieszczeń rezydencji, lokując w poszczególnych pomieszczeniach resztki zbiorów ocalałych z kataklizmu I wojny światowej i bolszewickiego najazdu. Do 1939 r. został wyremontowany pałac, ale nie udało się urządzić, umeblować wszystkich pomieszczeń. Ale też trudno było tego oczekiwać. Bogactwo wyposażenia pałacowych komnat powstawało przez setki lat, dzięki staraniom kolejnych pokoleń rodziny Siemieńskich.

Rodzice opowiadali, że mimo dużych nakładów finansowych, zabiegów i starań właścicieli pałac nie wrócił do dawnej świetności, ale zrobiono bardzo dużo, nie przypuszczając, że tak szybko przyjdzie nowy kataklizm wojenny, z którego siedziba rodu już się nie podniesie.

Powróćmy jeszcze do relacji, jakie łączyły właścicieli pałacu z rodziną Maternów.

Przyjazny stosunek hr. Siemieńskich był utrwalany co najmniej od poprzedniego pokolenia. Mimo zasadniczo odmiennej pozycji społecznej obydwie rodziny pamiętały o imieninach, świętach itp. Kiedy przed świętami w należących do pałacu stawach wylawiano ryby, to posłaniec hr. Natalii zawsze pojawiał się u nas z partią ryb. Dzieńdek mój ze strony mamy, Grzegorz Bajorek,

Ogromny dziedziniec pałacu (80 x 80 m) zdobiło kilka okazałych drzew i rabaty kwiatowe



był wójtem (w Zamku) w gminie zbiorczej (do której należało kilka okolicznych wsi) przez kilka kolejnych kadencji – aż do nowego podziału administracyjnego w 1934 r. W sprawach lokalnej społeczności często spotykał się z hr. Janem Siemieńskim.

Rodzice moi chętnie udzielali się w sprawach społecznych, pracowali w Kółku Rolniczym, Kole Gospodyń Wiejskich. Dzięki inicjatywie hr. Natalii organizowane były rozmaite kursy, szkolenia, mające na celu podnoszenie poziomu gospodarowania. Na zajęcia takie przyjeżdżali instruktorzy z powiatu, z Rawy Ruskiej. Hr. Natalia wysyłała po tych specjalistów bryczkę i pokrywała koszty szkoleń odbywających się w szkole lub pomieszczeniach pałacowych. Hr. Siemieńska znana była również z pomocy medycznej, udzielanej chorym pracownikom i mieszkańcom Zamku. Jeżeli choroba była poważniejsza, wysyłała bryczkę po lekarza i pokrywała związane z tym koszty.

Hr. Jan opiekował się Związkiem Strzeleckim, którego zadaniem była praca nad podniesieniem obronności kraju. Wzorem swoich przodków był zapalonym myśliwym i chętnie polował wraz z sąsiadami z okolicznych majątków w ogromnych należących do niego lasach. Dysponował dużym arsenałem broni myśliwskiej, głównie belgijskiego pochodzenia.

Tę broń trzeba było konserwować i naprawiać. Czynności te wykonywał mój ojciec, który brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 r. W czasie służby w XIX Pułku Odzieczy Lwowa, już po zakończeniu wojny, ukończył kurs rusznikarski i naprawiał broń również swoim dowódcom. Jak się później okazało, ta umiejętność bardzo mu się przydała, kiedy objął nadzór nad kolekcją świetnej broni myśliwskiej hrabiego.

Zapamiętał pan, jak to konna pałacowa straż pożarna pędziła co sił do pożarów, które zdarzały się na wsi?

Rzeczywiście tak było, z reguły hrabstwo nie pozostawiali pogorzalców bez pomocy, przydzielając drewno na odbudowę krytych strzechą chałup. Pomagali także



Dziedziniec zdobyło kilkanaście kamiennych posągów przedstawiających wybitne postacie z historii Polski. Na zdjęciu posąg Stanisława Żółkiewskiego, hetmana w koronie na tle ostrołukowych arkad, oraz Radziwiłła. Łuki arkad upiększona pnącą rośliną. Wszystkie barokowe posągi zostały zniszczone jesienią 1939 r., a gruzu użyto do budowy drogi.

mieszkańcom Zamku w przypadku nieszczęśliwych wydarzeń losowych.

Zapewne wśród pracowników byli ludzie pozostający w bliskich stosunkach z właścicielami.

Niewątpliwie do grona zaufanych pracowników hr. Jana Siemieńskiego należał jego kierowca i mechanik w jednej osobie, pan Babicz. Bardzo często jeździł on jako pasażer, bo hrabia lubił prowadzić samochód. Do grona bliskich i zaufanych należał główny dyrektor Zarządu Dóbr, pan Walerian Barbadyn, który zajmował wraz z rodziną parterową willę położoną nieopodal pałacu. Wysoką pozycję zajmował główny kamerdyner p. Kowalczyk. Jakie były ich dalsze losy, nie bardzo pamiętam. Przypominam sobie jednak, że p. Barbadyn był po wojnie dyrektorem PGR-u na Ziemiach Zachodnich, a główna kucharka pracowała po wojnie jako szefowa kuchni w restauracji w Jarosławiu.

Wspominał pan, że w domu rodzinnym przechowywano dużo zdjęć fotograficznych, a także listy, karty pocztowe, otrzymywane także od dwóch braci, którzy byli oficerami zawodowymi i służyli w WP w Warszawie. Zdjęcia te ilustrowały różne wydarzenia, w których brali udział hrabiostwo Siemieńscy. Co stało się z tymi zdjęciami?

Niestety niemal wszystkie przepadły. Kiedy ojciec wrócił szczęśliwie, udało mu się zbiec z obozu przejściowego w Tarnopolu,

natychmiast zainteresowało się nim miejscowe NKWD. Został aresztowany i osadzony w więzieniu w Rawie Ruskiej. Był przesłuchiwany przez całą noc, a prześladowcy nie szczędzili pytań związanych z wojną 1920 r.

Pytali prowokacyjnie, ilu zabił kawalerzystów Budionnego, jak i gdzie walczyła jego jednostka itp. W czasie gdy ojciec był w areszcie, funkcjonariusze NKWD z Rawy Ruskiej raz jeszcze wybrali się do nas i skrupulatnie przeszukali cały dom, zaglądając nawet za ramy obrazów świętych, wiszących na ścianach. Wszystkie fotografie, zwłaszcza członków rodziny w mundurach Wojska Polskiego, listy, karty pocztowe, rozmaite dokumenty zgarnęli do worka i już nigdy ich nie zobaczyliśmy. Na szczęście po kilku dniach i niekończących się przesłuchaniach ojciec został zwolniony. Nakazano mu, by co tydzień meldował się w placówce NKWD.

Nieubłaganie zbliża się wojna. Piszą o niej gazety, rozmawiają ludzie. Większość Polaków ciągle ma nadzieję, że uda się jej uniknąć. Tylko pojedyncze osoby czarno widzą przyszłość, przewidując nadejście ciężkich czasów. Jednak rzeczywistość



Jedno z trzech zachowanych zdjęć wnętrza pałacowych przedstawia fragment gabinetu z kominem, empirowymi świecznikami i empirowym zegarem. Poniżej okrągły empirowy stolik i dwa wygodne fotele. Ściany do wysokości 2 m pokrywa dębowa boazeria.

wojenna przekroczyła wszelkie oczekiwania. Większość właścicieli ziemskich, właścicieli ogromnych, ale także mniejszych posiadłości, miała bolesne kontakty z bolszewikami pod koniec pierwszej wojny światowej i wojny z 1920 r.

Również hrabiowie Siemieńscy pamiętali o tym, jak ograbiono bez litości ich rodzową siedzibę, wywieziono lub zniszczono cenne kolekcje artystyczne, rodowe pamiątki gromadzone przez setki lat, bogate, ogromne i niezwykle cenne zbiory świadczące o umiłowaniu rodzinnej ziemi i głębokich uczuciach patriotycznych właścicieli rezydencji w Zamku. Siemieńscy, podobnie jak 95% polskiego ziemiaństwa na Kresach Wschodnich – zostali zaskoczeni przez inwazję bolszewików i bezpowrotnie stracili dorobek pokoleń, tak pieczołowicie z największym oddaniem gromadzony przez stulecia.

Czy można było uniknąć katastrofy? Odpowiedź brzmi jednoznacznie: nie. Zbyt późno podjęto przygotowania do opuszczenia rezydencji w Zamku i ocalenia przynajmniej drobnej części z nieocenionych bogactw zgromadzonych w pałacowych wnętrzach.

Mój rozmówca, pan Tadeusz, wówczas nastolatek, który dorastał w cieniu wielkopańskiej rezydencji, mimo bliskiej zażyłości, która łączyła jego dziadka i rodziców z hrabiostwem, nie pamięta dokładnie, jak było z ich ucieczką, opuszczeniem najdroższego miejsca na ziemi.

Pierwszymi zaborcami, którzy pojawili się w Zamku i Magierowie we wrześniu 1939 r. był niewielki oddział Wehrmachtu. Pytali zastaną w pałacu służbę, dlaczego grafowie wyjechali?

Przecież Niemcy nie mają wobec nich złych zamiarów. Służba odpowiadała, że wyjechali do swego domu we Lwowie. Po dwu lub trzech dniach wojsko niemieckie wycofało się. Prawdopodobnie było to 24 września, a jego miejsce zajęła duża jednostka Armii Czerwonej.

Zrekonstruujemy fakty. Siemieńscy wyjechali przed wkroczeniem niewielkiego oddziału Wehrmachtu. Hrabiostwo skierowali się do Lwowa, od Żółkwi do lwiego grodu prowadziła dobra droga, asfaltowa. Odległość Zamku od Lwowa wynosiła ok. 42 kilometry, a więc nie było zbyt daleko, tylko 15 kilometrów kiepskiej, szutrowej drogi. W ogólnym chaosie i zamieszaniu, jaki

zapanował w rezydencji, nie przemyślano chyba, dokąd uciekać. Najbardziej bezpieczny wydawał się niedaleki Lwów, gdzie znajdował się drugi pałac Siemieńskich. Była to fatalna decyzja, którą podjęto w pośpiechu, w atmosferze ogarniającego cały kraj strachu przed wojskami Hitlera.

Z opowiadań naocznych świadków, którzy pracowali u hrabiostwa, wynika, że z pałacu wyruszyła nieduża kolumna, na którą składały się dwa samochody osobowe (w tym jeden kabriolet, drugi typu limuzyna). Kolumnę zamykał duży wóz drabiniasty zaprzężony w dwa konie. Do limuzyny wsiadły cztery osoby. Jan i Natalia Siemieńscy i ich dzieci. Samochód prowadził hrabia, kabriolet jego kierowca.

Do samochodów załadowano prawdopodobnie najcenniejsze rzeczy, klejnoty, biżuterię, srebra rodowe, ale ich pojemność była niewielka. Więcej cennych rzeczy z ogromnej rezydencji ulokowano na dużym wozie dwukonnym, z natury rzeczy poruszającym się wolno. I to właśnie ów wyładowany wóz stał się przyczyną nieszczęścia.

Do Lwowa podobno dotarli, ale nie zdążyli ukryć się we własnym pałacu przy ul. Piekarskiej.

Po kilku dniach powrócił do Zamku ulubiony furman hrabiego, Aleksander Moczur. Wrócił bez wozu i koni. Opowiadał, że wszystko, wóz z ładunkiem i samochody, zostały skonfiskowane przez Sowieców. Wygląda na to, że uciekinierzy wraz z najcenniejszym ładunkiem, zabranym w pośpiechu z rezydencji w Zamku, wpadli na ulicach Lwowa w ręce jakiegoś patrolu Armii Czerwonej. Można sobie wyobrazić, że żołdaci i ich dowódca wprost oszaleli z radości, gdy zorientowali się jakie niewyobrażalne skarby dostały się w ich ręce... Rodowa fortuna jednej z najbogatszych rodzin ziemiańskich w Małopolsce Wschodniej w jednej chwili została bezpowrotnie utracona.

Najprawdopodobniej szał radości, jaki opanował garstkę najeźdźców, spowodował, że hrabiostwo uratowali życie. Niepostrzeżenie opuścili swoich oprawców, ukryli się i przedostali na stronę niemiecką.

Jest jeszcze druga hipoteza: czerwonarmiści wypuścili hrabiego, aby podzielić się łupem. Nieznane są okoliczności, w jakich właścicielom pałaców z Zamku, we Lwowie, a także licznych majątków ziemskich uda-



Jeden z pokoi z kominkiem na parterze pałacu. Wystrój tego pomieszczenia świadczy o myśliwskich pasjach panów na Zamku. Zwraca uwagę bogata kolekcja trofeów myśliwskich. Choćby z faktu, że na I piętrze znajdowała się duża galeria obrazów, wiemy, że Siemieńscy kochali sztukę, a szczególnie malarstwo.

Na ścianach pokoju poniżej poroży po obydwu stronach kominka znajduje się dziesięć oprawionych w ramy obrazów mniejszego formatu. Prawdopodobnie są to akwarele i grafiki. Do wystroju tego pomieszczenia należy zaliczyć jeszcze stylowe biurko, na nim zdjęcie w kunstownej ramie, wygodny fotel i dywan na podłodze. Jaka szkoda, że nie mamy żadnego zdjęcia z galerii obrazów.

to się przekroczyć linię demarkacyjną, jaką wytyczyli pozostający w sojuszu najeźdźcy.

Dlaczego pojechali do Tarnobrzega?

Pojechali nie tyle do Tarnobrzega, ale do Dzikowa, rezydencji hr. Tarnowskich. Właściciel okazałego zamku w Dzikowie i rozległych majątków był bratem matki hr. Jana Siemieńskiego. Hrabina Zofia Siemieńska z Tarnowskich co prawda w tym czasie mieszkała wraz z niezamężną córką Elżbietą w oficynie nieodbudowanego po I wojnie światowej pałacu Siemieńskich w Pawłosio- wie k. Jarosławia. W skład majątku wchodziła oprócz Pawłosiowa także Tywonia, a oficynę otaczał istniejący do dzisiaj park pełen starych, pięknych drzew. Tak było do



Członkowie Kółka Rolniczego w Zamku. Pierwszy od lewej siedzi na trawniku Jan Puszka, brat Michała. W drugim rzędzie (siedzi na ławce pierwszy od lewej) ojciec autorki wspomnień, Michał Puszka. Czwarta od lewej hr. Natalia z Tyszkiewiczów Siemieńska, żona właściciela majątku ziemskiego Zamek. Hrabina interesowała się sprawami rozwoju wsi i brała udział w pracach kółka rolniczego. W trzecim rzędzie pierwszy od prawej stoi Stanisław Materna, właściciel zakładu ślusarskiego w Zamku, ojciec Tadeusza, którego wspomnienia publikujemy w książce: Lata trzydzieste

jesieni 1944 r., kiedy na skutek reformy rolnej majątek został rozparcelowany.

Hrabiostwo Natalia i Jan Siemieńscy przetrwali wojnę, pracując w administracji dóbr Tarnowskich w Dzikowie.

Po zakończeniu działań wojennych, jak tysiące Polaków, którzy nie chcieli żyć w kraju należącym do sowieckiej strefy wpływów, hr. Natalia i Jan Siemieńscy wraz z rodziną nielegalnie przekroczyli granicę i przedostali się do Wielkiej Brytanii. Siemieńscy znaleźli się w Londynie, gdzie rezydował prawowity rząd polski i przebywało tysiące Polaków. Być może byli tam również dawni znajomi sprzed wojny, którzy pomogli hr. Natalii i Janowi uzyskać pracę w PCK.

Po pewnym czasie udało się zdobyć samochód i syn dziedziców Zamku, licealista ze Lwowa, Stanisław, zaczął zarabiać na życie jako taksówkarz, a córka Maria uczyła języka francuskiego.

Ogołocona całkowicie z wszelkiego majątku rodzina Siemieńskich stanęła przed trudnym wyzwaniem. Po pewnym czasie, jak tysiące uchodźców z Polski, poszukując lepszych warunków życia wyjechali do Kanady.

W Montrealu przebywał ich bliski krewny, starszy brat Jana, hr. Stanisław Siemieński-Lewicki, do 1939 roku bogaty ziemianin, właściciel rozległych dóbr w Chorostkowie na Podolu. W posiadaniu jego rodziny znajdowały się dwa pałace, stary i nowy, ujeżdżalnia koni, słynna stadnina koni arab-

skich. Cały ten duży majątek został utracony po wkroczeniu Armii Czerwonej pierwszego dnia inwazji, 17 września, bo Chorostków leżał blisko granicy, w podobnych okolicznościach jak w Zamku.

Proponuję, byśmy cofnęli się w czasie i wrócili do chwili, kiedy we wrześniu 1939 r najeżdźcy ze Wschodu rozgościli się w rezydencji Siemieńskich w Zamku. Na Podolu szal niszczenia był mniejszy, w Chorostkowie przetrwały wymienione wyżej obiekty, wyłączając stadnię.

Pałac był najważniejszą częścią rezydencji, ale oprócz niego na zapleczu znajdował się ogromny zespół obiektów gospodarczych, przeznaczonych do obsługi właścicieli.

Na prośbę wnuka Natalii i Jana Siemieńskich, Stanisława, zamieszkałego w Kanadzie, p. Tadeusz Materna przygotował szczegółowy opis pałacu i obiektów gospodarczych, które znajdowały się w Zamku. Ten opis, zwięzły, konkretny, świadczący o doskonałej pamięci mego rozmówcy, okazał się przydatny w staraniach wnuka o rekompensatę za stratę mienia zabużańskiego (ustawa przewiduje zwrot 20% utraconego majątku). Rezydencja w Zamku została doszczętnie ograbiona, najeżdźcy zniszczyli wszelkie dokumenty, tak że potwierdzony przez notariusza opis pałacu, zespołu gospodarczego i relacja w dziele R. Aftanazego zostały uznane za istotne.

Panie Tadeuszu, proszę przedstawić kilka fragmentów z pańskiego dokumentu.

Główny korpus zamku Jana Siemieńskiego, pierzeja wschodnia będąca mieszkaniem właściciela i jego rodziny, miała około 50 metrów długości i ok. 13 metrów szerokości. Dach wysoki, trzyspadowy, kryty dachówką ceramiczną, po prawej stronie była ośmioosiowa część arkadowa, stanowiąca integralny fragment głównego korpusu. Część arkadowa w poziomie parteru była otwarta w kierunku dziedzińca – gazonu, piętro zaś stanowiło długą na ok. 20 metrów, zamkniętą salę galerii, szerokiej ok. 6 metrów (kiedyś tam była tzw. galeria obrazów, która łączyła się z kaplicą zamkową). Duża baszta narożna, jedna z wielu, mieściła na piętrze

bibliotekę... Za bramą główną pompownia zaopatrująca w wodę cały zespół pałacowy, przy niej myjnia samochodów i zaprzęgów, a dalej garaże samochodowe oraz duża po-wozownia. W skrzydle zachodnim mieściły się stajnie dla koni cugowych, wierzchow-ców oraz pomieszczenia na uprząż i siodła.

Wspomnieć jeszcze należy, że za ist-niejącymi w części południowej ogrodami i sadem owocowym usytuowane były za-budowania folwarczne, tj. stodoły, stajnie, obory, chlewnie, kurniki, spichlerze itp. Od strony południowo-wschodniej znajdowała się parterowa ogrodowa willa, którą zajmo-wał zarządca wraz z rodziną, do 1939 r. był nim Walerian Barbadyń.

Wyliczone tutaj obiekty (choć nie wszystkie) dają pojęcie o wielkości i róż-norodności budowli wzniesionych nieopod-al rezydencji.

Wszystkie te budynki utrzymane były w dobrym stanie i funkcjonowały bez za-kłóceń aż do chwili, kiedy w Zamku poja-wiły się oddziały Armii Czerwonej (24 wrze-snia 1939). Pałac oraz obiekty gospodar-cze przejęła jednostka artylerii ciężkiej. Na ogromnym wypielęgnowanym dziedzińcu zamkowym, który ozdabiała rabaty kwia-towe, stanęły działa, ciągniki, samochody. W jeden dzień dziedziniec przekształcony został w magazyn ciężkiego sprzętu woj-skowego, a w pałacu i innych pomieszcze-niach zakwaterowani zostali artylerzyści. W stajniach koni cugowych i siodłańcych stacjonował oddział konny.

Czym zajmowali się żołnierze Stalina (wte-dy odziani w kiepskie mundury, wystrzępione płaszcze, z karabinkami na sznurkach) w pierw-szych tygodniach pobytu w rezydencji?

Wszelkie wyposażenie pozostawione w części mieszkalnej pałacu i innych po-mieszczeniach użytkowych zostało zabrane i gdzieś wywiezione. Wyjątek stanowiła bi-blioteka. Tę niszczone systematycznie, wy-rzucając książki z piętra baszty (gdzie była zlokalizowana) na ziemię. Soldaci zabierali je i wrzucali do rozpalonego ogniska, wokół którego kręcili się chłopcy ze wsi Zamek. Ich próby wyciągnięcia z ognia jakiegoś tomu, często oprawnego w skórę ze złoconymi napisami, kończyły się niepowodzeniem. Przy stosie książek i tłącego się ogniska stał żołdat z karabinem i odpędzał chłopców. Bezwzględnie przepędzał nastolatków, dba-

jąc o to, aby żadna z „kontrrewolucyjnych” książek nie ocalała. Inny żołdat repetował zam-ek karabinu i pokrzykiwał: *Uchodi, strelać budu!* Nie udało się ocalić żadnej, choćby najmniejszej książki czy dokumentu.

Wszystkie posągi, zgromadzone przez hr. Siemieńskiego pod arkadami, także te trzy, które zostały odrestaurowane przez specjalistów z Krakowa (prof. Szyszko-Bo-husz z Wawelu, studenci i dwóch, trzech pracowników hrabiego) i przygotowane do ustawienia na cokołach, zostały zniszczo-ne. Rozbijano je ręcznymi młotami, a gruz wywożono, aby załatać dziury na drogach, rozjeżdżonych przez ciężki sprzęt wojskowy (a był to okres jesienny). Niszczenie cennych rzeźb obserwowała przez wiele dni pomoc kucharki hrabiego i jej rodzina, która jeszcze ponad miesiąc mieszkała w oficynie pałacu.

Żołnierze z jednostki artyleryjskiej (a był to 500-osobowy batalion) nie pomieścili się w obiektach należących do Siemieńskich. Dla tych, dla których zabrakło miejsca „u pa-nów”, zajmowano kwatery na wsi u gospodar-zy, którzy dysponowali większymi domami.

U nas zajęto dwa pokoje: w większym zakwaterowano 12 żołdatów z drużyny łącz-ności z bębniami nawiniętych kabli telefo-nicznych. Musieliśmy opróżnić pokój z mebli i czerwonoarmiści wykonali przy dwu ścia-nach ławy do spania. Byli to przeważnie chłopcy po szkołach zawodowych z okolic Charkowa i Krzywego Rogu. Jedzenie przy-wozili ze sztabu (który mieścił się w pałacu) w dużym baniaku, obiad w jednym da-niu, a „kipiatok” przygotowywali sobie sami w ustawionej w korytarzu kuchni węglowej.

W drugim pokoju rezydował szef sztabu tej jednostki w stopniu majora, moskwianin, który ukończył szkołę wojskową im. Frunze-go (jak mówił). Inteligentny, grzeczny czło-wiek, twierdził, że jest synem geodety. Był kawalerem, nienadużywającym alkoholu. Prosił, aby mógł korzystać z naszej kuchni. Mama zgodziła się na to. Posiłki spożywał w innych aniżeli my porach, dopiero po po-wrocie z zajęć. Zaprzyjaźnił się z nami, po jakimś czasie jego matka pisywała do na-szej. Zawsze prosiła, by uważać, czy nie umawia się z jakąś Żydówką.

Moja mama uspakajała ją, że u nas nie ma takich kandydatek dla przystojnego ofi-cerka. A Żydówek jest niewiele. Wdzięczna była, że jej syn stołuje się u nas.

Muszę dodać, że przez cały czas pobytu Czerwonej Armii mówiono nam, szczególnie w szkole, że między ZSRR a Niemcami zapanowała „wieczna przyjaźń”, a Polska już nie powróci.

Jakie jeszcze „porządki” wprowadzali najeźdźcy po zagarnięciu połowy terytorium Rzeczypospolitej?

W części zabudowań gospodarczych rezydencji Siemieńskich zorganizowano (około półtora miesiąca po wkroczeniu) gospodarstwo zespołowe, kolchoz, włączając do niego ziemię należącą do chłopów. Zabrano również maszyny i cały żywy inwentarz (krowy, konie, świnie), a rolnicy stali się pracownikami kolchozu. Chłopi byli wściekli, ale nie mogli nic zrobić, bo grożono im deportacją na Syberię.

Jak pamiętam z pańskich opowieści, nie kończyło się tylko na groźbach.

Rzeczywiście, wiele rodzin z Zamku i okolicy wywieziono do Kazachstanu. Wywózki nie ominęły również naszej rodziny. 10 lutego 1940 r. wywieziony został, wraz z babcią, między innymi mój dziadek Grzegorz Bajorek, który był przez kilka kadencji wójtem gminy zbiorczej w Zamku. Już nigdy ich nie zobaczyliśmy.

Panie Tadeuszu, proszę opowiedzieć o okolicznościach, w jakich nastąpiła zmiana okupantów w 1941 r.

Atak wojsk niemieckich wczesnym rankiem 22 czerwca 1941 r. był wielkim zasko-

eniem dla władz sowieckich. Pułk ciężkiej artylerii kwaterujący w Zamku znajdował się na poligonie w lasach pod Rawą Ruską. Niemieckie samoloty stoczyły walkę z sowieckimi. Niemcy zestrzelili jedną z sowieckich maszyn, która spadła niedaleko stawu, wbijając się głęboko w ziemię. Pilot się uratował. Kwaterujący u nas szef sztabu, mjr Mikołaj Tihułow, był zaskoczony zaistniałą sytuacją. Szybko ubrał się, zabrał teczkę i pobiegł do sztabu (pałacu), w którym znajdowała się niewielka grupa czerwonoarmistów, podobnie jak on zdeorientowanych, zaskoczonych. Wydał im jakieś rozkazy i pogalopował konno na poligon do swojego pułku. Walcząc z Niemcami, pułk wycofywał się na wschód. Pod Złoczowem na Podolu pułk został rozbity, zginął jego dowódca płk. Szaludin. Dowiedzieliśmy się o tym z kartki napisanej ręką „naszego” majora. Jadąc z transportem wojskowym do Niemiec, mjr Tihułow w Częstochowie podał kartkę jakiemuś kolejarzowi, a ten dostarczył ją do nas.

Bardzo wymowna jest ta kartka z informacjami, którą wysłał mjr Tihułow, jadąc z wojskowym transportem do Niemiec. Świadczy ona wymownie o przyjaźni, jaka łączyła grzecznego oficera najeźdźczej armii z rodziną Maternów, u których kwaterował.

Niemcy rozwiązują kolchoz, zarząd gruntów należących do hrabiów Siemieńskich obejmuje oficer Wehrmachtu, inwalida wojenny, wraz z dwoma pomocnikami plus kilku żołnierzy, którzy dobrze znali się na gospodarce rolnej. Cel jest jeden: produkować jak najwięcej żywności (zboża, mięsa, mleka, warzyw i owoców) i dostarczać ją na potrzeby armii hitlerowskiej i głodującej ludności III Rzeszy.

Zgodnie z ideologią nazistowską – zmierzającą do wyniszczenia Żydów, z kobiet i mężczyzn zdolnych do pracy tworzą dwa komanda i wykorzystują ich do rozmaitych, trudnych robót. Żydzi pracowali za nędzne wynagrodzenie aż do połowy 1943 r., kiedy wywieziono ich do obozu zagłady w Bełżcu. Uratowało się kilka osób narodowości żydowskiej dzięki pomocy, jakiej udzieliły im rodziny Heleny Puskowej z Zamku, państwa Ziembów z Magierowa.

Okupanci niemieccy starali się wykorzystywać możliwości, między innymi zajęli się zdewastowanymi stawami dworskimi, oczyszczili je i zarybili narybkiem karpia.



Jan i Natalia Siemieńscy z synem Stanisławem

W 1943 nacjonaści ukraińscy spod znaku OUN nasilają wrogą działalność wobec ludności polskiej. Utworzona pod koniec 1942 r. UPA rozpoczęła na Wołyniu krwawą rzeź ludności polskiej. Powiat Rawa Rуска graniczy z Wołyniem, skąd napływają okropne wieści. Zachęczone przykładem z Wołynia oddziały UPA zaczynają krwawą rozprawę z Polakami na terenie Małopolski Wschodniej.

Rodzina Maternów przeżyła już bardzo nieprzyjemne zdarzenie: przed świętami Bożego Narodzenia w grudniową noc 1943 r. zbrojna banda ukraińska napada na dom Maternów. Załadowano wszystko, co dało się wynieść z domu. Na szczęście nie wymordowano całej rodziny, ale było to bardzo ważne ostrzeżenie. Z każdym miesiącem Polacy czuli się coraz mniej bezpiecznie. W marcu 1944 r. Maternowie, ostrzeżeni przed mającym nastąpić napadem UPA, opuszczają Zamek. Zatrzymali się najpierw w Rawie Ruskiej, a później ruszyli na zachód, zostawiając dorobek kilku pokoleń: dom, świetnie wyposażony warsztat ślusarsko-kowalski, spory szmat ziemi rolnej, którą uprawiali dzierżawcy. Ale to już odrębna historia.

Proponuję jeszcze na zakończenie powrót do miejscowości i rezydencji Siemieńskich. W jakiś czas po zajęciu tych miejscowości przez wojska III Rzeszy przyjechał z Tarnobrzega hr. Jan Siemieński.

Było to dla niego bardzo trudne przeżycie: chodził po zdewastowanej rezydencji, po dobrze znanych mu komnatach, korytarzach ogołoconych z wszelkiego wyposażenia z zerwanymi parkietami i boazeriami. Hrabia zalewał się łzami. Bezsilny patrzył na zagładę wszystkiego, co było jego sercu bliskie i drogie. Było to jakże smutne, ostatnie pożegnanie z niewyobrażalnie zniszczoną kolebką kilku pokoleń rodu Siemieńskich. Jednak, choć zrujnowane, stały jeszcze mury pałacu, baszty, większość kompleksu zabudowań gospodarczych.

Dokończyli złowrogię dzieła banderowcy. Po odejściu Niemców podłożyli ogień w pałacu. Spłonął doszczętnie. Pozostały jednak mury, niekiedy w najstarszych fragmentach budowli, np. basztach metrowej grubości. Co się z nimi stało?

Zostały rozebrane, wykorzystane jako materiały budowlane. Wzniesiono budynki

kołchozu, kilka domów kołchoźników, rozbudowano szkołę.

Po latach, kiedy upadł Związek Sowiecki, powstała niepodległa Ukraina, Tadeusz Materna wyruszył z Rzeszowa (gdzie po tułaczce osiadł), by zobaczyć miejsca, gdzie się urodził. Z ogromnego Zamku – pałacu zostały zarysy fundamentów.

Spotkałem młodą wykształconą Ukrainkę i pytam: dlaczego zniszczyliście to wszystko, przecież mogło wam służyć długie lata. Po co?

Odpowiedź była krótka: „bo naszych didów takij dur wziaw” (bo naszych dziadków ogarnęła taka głupota). Po chwili dodała jeszcze „wany zawsiem zahoriły” (oni całkowicie zwariowali).

Myślę jednak, że przypadkowo spotkana młoda Ukrainka nie powiedziała prawdy.

Zniszczenie wielkiej rezydencji w Zamku nie było wybuchem wścieklej nienawiści do polskich panów (jak wiemy, stosunki pomiędzy hr. Siemieńskimi a mieszkańcami wsi Zamek były przyjazne, właściciele pałacu nie wyróżniali szczególnie Polaków). Wszystkie trzy nacje (oprócz polskiej i ukraińskiej była także mniejszość żydowska) starali się traktować rzeczowo, ale sprawiedliwie. Na pomoc w trudnej sytuacji (pożar, poważna choroba) mogli liczyć wszyscy, bez względu na narodowość i wyznawaną religię.

Decydującą rolę w podłożeniu ognia w pałacu odegrała UPA. Zachowały się rozkazy do dowódców oddziałów banderowskich, w których bez osłonek, wprost mówi się, że Lachów należy zabić, domy i zabudowania gospodarskie spalić, ba, wyciąć drzewa, tak by nie pozostał żaden ślad polskiej obecności na ziemi kresowej, a Lachy nigdy nie mogą wrócić! Dur (czyli głupota) był również, ale dopiero na drugim planie. Cel założony przez OUN został osiągnięty. Nie ma śladu po Lachach w Zamku; do funda-



Jan hr. Siemieński

mentów zniszczony został pałac, wszystkie jego niepoznane do końca skarby i ulokowana w nim piękna kaplica, która pełniła rolę kościoła. A w lakonicznym internetowym opisie wsi Zamek nawet nie wspomina się o tym, że do połowy 1944 r. znajdowała się tu jedna z najbardziej okazałych rezydencji ziemiańskich Ziemi Lwowskiej.

* * *

O ostatnich właścicielach rezydencji Zamek k. Magierowa, hrabiach Natalii i Janie Siemieńskich, mój rozmówca p. Tadeusz Materna wyraża się z szacunkiem, a nawet serdecznością. Widocznie na to zasłużyli. Jak na czasy, w których żyli, byli to ludzie nowoczesni. Hr. Natalia z własnej woli blisko współpracowała z miejscowymi rolnikami, zmierzając do poprawy warunków życia na wsi kresowej. Hr. Jan Siemieński, oficer wojska polskiego, kapitan w stanie spoczynku, pasjonował się lotnictwem. Miał licencję pilota, jako członek Aeroklubu Lwowskiego często nadlatywał małą awionetką ze Lwowa i krążył nad swoją rezydencją i wsią Zamek.

Jak niemal wszyscy arystokraci byli osobami dobrze wychowanymi i wykształconymi. Przyjaźni, otwarci wobec ludzi nie tylko ze swojej sfery. Nie obnosili się ze swoją „pańskością”, nie okazywali wyższości, dystansu, właściwego niekiedy ludziom bogatym.

Hrabiostwo żyli w sposób właściwy swojej warstwie społecznej, bawili się, polowali, udzielali społecznie, spotykali ze znajomymi z kręgów arystokracji. Zapewne część zimy, a zwłaszcza w okresie karnawału, bawili w swoim (nieco skromniejszym) pałacu we Lwowie. Chodzili na słynne lwowskie bale w Kasynie Ziemiańskim, brali udział w życiu towarzyskim tego pięknego miasta. Ich dzieci, Maria i Stanisław, kształciły się we Lwowie, syn był uczniem jednego ze znakomych lwowskich gimnazjów.

Czasami hr. Jan Siemieński zasiadał do stolika karcianego w wykwinnym hotelu „George’a”. Zdarzyło się, że karta nie szła i wyczerpał się zapas gotówki. Wtedy przegrał w preferansa spory kawał lasu. O tym wyjątkowym zdarzeniu opowiadał ojcu p. Tadeusza rządcą Barbadyn. Nie było w tym nic szczególnie ekscytującego, czytamy o takich zdarzeniach z pamiętników

z tamtych lat. Niektórzy panowie z „wyższych sfer” bardzo cenili sobie tę czasami kosztowną rozrywkę...

Zarówno hr. Siemieńscy, zamożni ziemianie, jak i Maternowie rzemieślnicy oraz Peszkowie rolnicy (którzy pomogli przetrwać okupację jednemu Żydowi) byli reprezentantami polskiej kultury na Kresach. Tworzyli ją na miarę swoich możliwości i potrzeb. Wszyscy zostali wypędzeni, utracili swoje pałace, domy, warsztaty i gospodarstwa rolne. Bezpowrotnie stracili dorobek wielu pokoleń żyjących na kresowej ziemi.

Najdotkliwsza jest strata dzieł sztuki, wysokiej klasy kolekcji artystycznych, malarstwa, grafiki, zabytkowych mebli, sreber, porcelany, gromadzonych przez pokolenia rodu Siemieńskich.

Gdzie znajdują się te skarby z Zamku, a także innych licznych rezydencji ziemiańskich kresowych? Skoro zabierano je i wywożono, przynajmniej część trafiła do muzeów na Wschodzie, a część została zniszczona.

Ile było na Kresach rezydencji ziemiańskich tak bogato wyposażonych jak ta, którą się zajmujemy?

Kilkanaście, kilkadziesiąt a może ponad 100? To da się policzyć, również dzięki temu, że zostały z taką dokładnością opisane w cennym opracowaniu R. Aftanazego.

Ale tego, ile cennych pamiątek historycznych znajdowało się w dziesiątkach i tysiącach dworów, dworków, pałacyków kresowych, nigdy się nie dowiemy.

Straty kultury polskiej na rozległych obszarach ziem utraconych są ogromne i trudne do dokładnego oszacowania. Najbardziej boli fakt, że jakże bogate, różnorodne, nigdy nie zinwentaryzowane, zostały bezpowrotnie utracone.

Dodajmy jeszcze, że z niemal wszystkich rezydencji kresowych współczesne muzea polskie nie mają żadnych obiektów zabytkowych, nawet drobiazgów. Jedyne wyjątek stanowi Ossolineum we Wrocławiu, z tym jednak, że zwrócono nam jedną trzecią całości zbiorów.

Wyłączając zdjęcia rezydencji z lotu ptaka i 3 fotografie sprzed 1914 r – wszystkie pozostałe fotosy wykonał w 1938 r. Roman Aftanazy. Widocznie w tym roku, krótko przed nadciągającym kataklizmem, odwiedził on Siemieńskich w Zamku.

Antoni Wilgusiewicz

Kresowianie, poeci, żołnierze...

Beata Obertyńska i Zygmunt Jan Rumel

W ostatnim okresie Państwowego Instytut Wydawniczy, zasłużona polska oficyna, która pomyślnie przetrwała okres transformacji, opublikował dwa bardzo ważne tomiki wierszy. Ważne dla polskiej poezji i jej miłośników, ale też dla wszystkich kresowian w kraju i za granicą, a także tych, którzy szeroko rozumianą historią i kulturą kresową się interesują. Dwoje bardzo różnych od siebie autorów łączy jednak wiele: oboje pochodzili z Kresów II RP i z nich w dużym stopniu czerpali w swojej twórczości, oboje byli poetami wybitnymi, ale mało znanymi, wreszcie oboje w tragicznych czasach II wojny światowej stanęli do walki o Ojczyznę jako żołnierze sprawy polskiej. Z wielką radością przede wszystkim wydanie ich tomików wierszy, a także z nadzieją, że przyczynią się one do przypomnienia autorów i zapoznania z ich twórczością zwłaszcza młodych Polaków.

Beata Obertyńska pochodziła ze słynnej rodziny artystycznej, nierozzerwalnie związanej ze Lwowem. Jej babką była Wanda Monné, narzeczona Artura Grottgera, uwieczniona słynnym nagrobkiem zmarłego młodo malarza na Cmentarzu Łyczakowskim. Wyszła potem za męża za jego przyjaciela, także malarza, Karola Młodnickiego; jednym z ich dzieci była wybitna poetka Młodej Polski, Maryla Wolska. Beata, córka Maryli, urodzona w 1898 roku, po mężu Obertyńska, od najmłodszych lat żyła w artystycznej atmosferze stworzonej przez jej matkę w lwowskiej willi Zaświecie, położonej u stóp Cytadeli. Swój talent poetycki ujawniła stosunkowo późno, jakby wstydząc się wybitnej matki-poetki, która jednak pomogła jej i zachęciła do rozwoju twórczości literackiej. Jeszcze później Beata poczuła pociąg do aktorstwa i zrealizowała go, występując na lwowskiej scenie teatralnej. Jako poetka jest porównywana przez literaturoznawców do Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, choć z różnych przyczyn nie osiągnęła podobnej sławy poetyckiej. Dramat Beaty rozpoczął się

wkrótce po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lwowa (jej mąż Józef już wówczas nie żył). Aresztowana jako „wróg ludu” przeszła przez piekło więzień i łagrów, co po wojnie opisała we wstrząsającym pamiętniku *Z domu niewoli*. Uratowało ją powstanie Armii Andersa, w której szeregach jako porucznik przeszła cały szlak bojowy; z racji swego

talentu pełniła tam funkcję oficera prasowego. Po wojnie powrotu do Lwowa ani do Polski dla takich jak ona już nie było; pozostała w Londynie do śmierci w 1980 roku, otrzymując szereg nagród za swoją twórczość literacką.

Najnowszy tomik poezji Obertyńskiej autorka wyboru Anna Piwkowska zatytułowała za jednym z wierszy *Tarta róża*, co oczywiście ma wymiar symboliczny, nawiązujący do kolei życia poetki; od rozpieszczonej nastolatki z zamożnego domu przez poszukiwanie swojej drogi życiowej i artystycznej, piekło wojny aż po dojrzałą refleksję starości spędzanej „na londyńskim bruku”. Wszystko to pokazuje jej poezja, wybrana do tomiku; każdy czytelnik może się z nią zapoznać i przeżyć na swój sposób, dla mnie jednak najbardziej wstrząsający jest wiersz stosunkowo dobrze znany *Żona Lota*.

Wiersz ten, nawiązujący oczywiście



ście do symboliki biblijnej, jest wariantem tematu często obecnego w poezji lwowian opuszczających Miasto – odejścia na zawsze z rodzinnego, ukochanego Lwowa i tragedii z tym związanej.

*Już nie wołam. Choć żywa, jestem już umarła.
W biały słup się zamieniam. Śmierć*

*skorupą ciasną
Od stóp mnie przyobleka i pełźnie do gardła
za to jedno spojrzenie wstecz! O miasto!
Miasto!*

*Gdy sól dojdzie do serca – ze strachu zjeżona
Targnie mi myśl ostatnia włosów twarde*

*struny.
...I zostanę na wzgórzu samotna i słona –
Przeświełona miedziano rdzą gasnącej luny...*

Zygmunt Jan Rumel to poeta jeszcze mniej znany (tak np. w odróżnieniu od Beaty Obertyńskiej nie figuruje w popularnym *Słowniku pisarzy polskich* z 2003 roku); być może wynika to z faktu, że żył i tworzył znacznie krócej (lata życia 1915–1943). On z kolei porównywany jest do Krzysztofa Kamila Baczyńskiego – z racji skali swego talentu oraz tragicznej śmierci, która przerwała wspaniale zapowiadającą się przyszłość artystyczną ich obu. Urodzony na Wołyniu, absolwent legendarnego Liceum Krzemienieckiego, ukończył następnie polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Związany z ruchem ludowym, po wybuchu wojny podjął działalność konspiracyjną w Batalionach Chłopskich; w 1943 roku został dowódcą tej organizacji na Wołyniu. Kierowany naiwną – jak się okazało – wiarą w możliwość porozumienia z ukraińskimi nacjonalistami, udał się na rozmowy z nimi w sprawie zapobieżenia rozpoczynającym się mordom na ludności polskiej i zginął w nocy z 10 na 11 lipca 1943 roku straszłą śmiercią – żywcem rozerwany końmi.

Twórczość Rumla, ukrytą w walizce, jego żona Anna uratowała z palącego się domu w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie zajęła się nią Anna Kamieńska, która doprowadziła w latach siedemdziesiątych do wydania spuścizny poety przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą (tomik wznowiono z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w 2015 roku z okazji 100. rocznicy urodzin Zygmunta Rumla).

Dobrze więc się składa, że twórczość ta ponownie stała się obiektem zainteresowania wydawców, a miejmy nadzieję, że i coraz liczniejszego grona czytelników. Karol Samsel w swoim słowie o poecie podkreśla, że Rumel czerpał w sposób twórczy z najlepszych tradycji poezji polskiej i polskiej historii. Tak na przykład *Pogrzeb pięciu poległych*, sięgający do znanego faktu manifestacji patriotycznej w Warszawie w 1861 roku, stanowi parafrazę norwidowskiego wiersza *Bema pamięci rapsod żałobny*. Rodzinny Wołyń, a szerzej – kresowe ziemie Rzeczypospolitej zajmują także ważne miejsce w twórczości poety – jak choćby w wierszu *Dwie Matki* (chodzi tu o rozdarcie między Polskę a Ukrainę – dwie ojczyzny poety) czy *Dumka* – parafraza legend o kresowych rycerzach broniących tych ziem przed tatarskimi najazdami. Swój „kresowy” testament poety, z pewnością mimo młodego wieku liczącego się z możliwością rychłej śmierci, stanowi wiersz *Na śmierć poety*, zaczynający się od słów:

*A kiedy go z wami nie będzie –
usypcie mu kurhan stepowy,
aby słyszał, jak burzan pieśń gędzie
i wiatr stepem przewala się płowy...*

Tomik kończy *Modlitwa*, tekst odtworzony przez Antoninę Lemińską, który jakoby wypowiedział Rumel na dzień przed swoją tragiczną śmiercią. Ma on charakter modlitwy *Ojczyźnie*, wzbogaconej przez poetę refleksjami dotyczącymi Polski i Polaków. Kończy się słowami:

*Amen. Niech tak się stanie, byśmy na
polskiej ziemi stali się znów gospodarzami.
Byśmy oparli się o góry i morze. Byśmy mogli
w Twoim słońcu chlebem karmić głodne
rzesze. Sprawiedliwyś ład wprowadzić
w sprawiedliwej Polsce. Niech tak się stanie,
byśmy wolnymi Polakami byli, o Panie!*

Twórczość obojga poetów stanowi piękne świadectwo nie tylko ich talentu poetyckiego, ale też tego, co w polskiej tradycji poetyckiej i w ogóle artystycznej najwspanialsze – jest świadectwem dziejów Narodu, jego tragicznych nieraz przeżyć, ale też mądrej refleksji i nadziei, zawartej w naszym hymnie narodowym: *Jeszcze Polska nie zginęła...*

Jarosław Krasnodębski

Gmach najstarszej instytucji finansowej w Stanisławowie

Nie ci, którzy pracują, ale ci, którzy oszczędzają, są bogatymi. To jedno z haseł reklamowych Kasy Oszczędności, założonej u progu ery autonomicznej pod koniec 1867 roku. Przez pierwszy okres zakład ten połączony był z kasą miejską i mieścił się w ratuszu. Po osiągnięciu dostatecznych środków z wkładek miejscowej i okolicznej ludności postanowiono stworzyć osobną działalność. W 1881 roku Kasa Oszczędności zatwierdziła własny status urzędniczy i za główny cel postawiła sobie wybudować własny gmach. Co ciekawe, do tego czasu wydziałowi tej instytucji przewodniczył proboszcz kościoła ormiańskiego, słynny kaznodzieja, który został wybrany na stolice arcybiskupią we Lwowie, ks. Izaak Mikołaj Isakowicz. Gmach projektowano z myślą pomieszczenia biur, ale innym celem było także upiększenie *miasta okazałym budynkiem*. W 1882 roku Namiestnictwo Galicji we Lwowie udzieliło niezbędnego na to pozwolenia, w efekcie czego zarząd Kasy kupił specjalny grunt przy ulicy Kazimierzowskiej (obecnie Mazepy) i rozpoczął prace.

Od tej pory sprawy potoczyły się bardzo szybko. Ogłoszono konkurs na najlepszy projekt budynku, którego sędziami byli słynni lwowscy architekci Julian Zachariewicz i Juliusz Hochberger. Konkurs odbił się szerokim echem i zdobył zainteresowanie wśród liczного grona twórców z Galicji. Wyróżniono tylko dwie nagrody, które przypadły tym razem dla krakowskich architektów. Pierwszą zdobył Rajmund Meus, drugą zaś Karol Knaus. Niestety, z powodu braku źródeł trudno jest przypisać autorstwo gmachu jednemu z nich. Wiadomo tylko, że budowę nadzorował i przeprowadził w niej szereg zmian budowniczy, pracownik urzędu miejskiego w Stanisławowie, Jan Szporek. Dwa lata później w 1884 roku gmach już został ukończony i w listopadzie oddano go do użytku Kasie Oszczędności.

Swoim wyglądem wyróżniał się znacznie na tle innych budynków. Jak słusznie podaje badaczka architektury Stanisławowa Żanna Komar, *był przykładem połączenia włoskiej i francuskiej odmiany neorenesansu*. Potwierdzała to *rzadko spotykana, nawiązująca*

Od lewej gmach Kasy Oszczędności w Stanisławowie, archiwum autora.





do świetności włoskiego palazzo... rustyka diamentowa cokołu. Innym dobitnym przykładem był gmach pokryty... wysokim francuskim dachem, który odgrywa decydującą rolę w recepcji całej kompozycji. Z kolei Władysław Ciesielski, współpracownik „Kuriera Stanisławowskiego”, doceniał w nim ład i harmonię fasady. Pisał przeszło ponad sto lat temu: *Gmach i rozmiarem, i powierzchnością swoją jest okazały. Ton jego ornamentyki nie krzykliwy, nie wyszczególniony tkankami sztukaterii... lecz zachował zacność ozdoby właśnie przez wdzięczny tok, w rozkładzie linii i powierzchni.* Zwracając uwagę na detale, zauważył ciekawe elementy architektoniczne, jak np. okna, które

w oprawie arkad łukowych, miłe i pogodnie sprawiają wrażenie.

Zwieńczeniem budowli była rzeźba dłuta lwowskiego twórcy Tomusza Dykasa. Warto dodać, że według projektu tego autora wzniesiono kilka lat później na cmentarzu sapieżyńskim w Stanisławowie okazały pomnik publicysty i powstańca styczniowego Agatona Gillera. W części centralnej gmachu przedstawił on z kolei figury

symbolizujące „Pracę” i „Oszczędność”, ustawione na szczycie z połączonym napisem „Kasa Oszczędności”. Rzeźby nie znalazły jednak uznania Władysława Ciesielskiego. Jego zdaniem były z wyrazem niedostatku na twarzach i anatomicznie wycieńczone w członkach. Sugerował dalej krytycznie: *na widok rąk stale wyciągniętych ponad głowę, wnioskujemy, że człowiek karę cierpi lub udręczenie.* Na szczęście to nie wpłynęło zbyt mocno na jego ogólną opinię. *Wobec tego uchybienia przeciw taktowi artystycznemu, zalety wieloliczne budynku nie znikają przecież... Dyrekcja Kasy Oszczędności budową gmachu swego dała niejako początek i zachętę moralną kilku*



Gmach Kasy Oszczędności w Stanisławowie, źródło: NAC

obywatelom tutejszym do wstąpienia w jej ślady – pisał Ciesielski.

Kilkanaście lat później w celu pomieszczenia oddziału zastawniczego kasy dobudowano od strony ul. Roguskiego nowe skrzydło gmachu. Wydział Kasy Oszczędności starał się całemu wnętrzu nadać jak największą wagę tej instytucji. Ze względu na brak miejsca dla wszystkich biur uchwalono przebudowę budynku oraz stosowne jej udekorowanie. Według planów z 1910 roku parter miał tworzyć jedną wielką salę, która pomieści wszystkie działy kasy. Na piętrze zakładano zaś urządzenie biura prezesa, dyrekcji, naczelnika, ekspedytu i buchalterii oraz odrębną salę posiedzeń. Prace nad przebudową i starannym wykończeniem wszystkich pomieszczeń trwały niemal do końca następnego roku. Największą uwagę skierowano na salę posiedzeń położoną na pierwszym piętrze. *Ściany jej wyłożono popielatym marmurem, [dodatkowo] zaś sufit i ściany postanowiono ozdobić dziełami sztuki.* Prace dekoracyjne miał wykonać nieznany bliżej artysta-malarz Stanisław Lachowski, który według doniesień prasowych studiował wcześniej we Florencji. Jednocześnie należał do grona urzędników zatrudnionych w Kasie Oszczędności. Podczas pobytu w jego pracowni malarskiej udało się nielicznym osobom obejrzeć dzieła przed ich umieszczeniem. Do dekoracji Lachowski przeznaczył plafon na sufit w sali posiedzeń, obrazujący cztery pory dnia. Najważniejsze było płótno, które miało wisieć na jej głównej ścianie. Obraz ten symbolizował poniekąd misję i cele instytucji. Świadczy o tym najlepiej jego krótki opis: *Na cokole siedzi po lewej stronie obrazu postać kobieca, udrapowana klasycznie z palmą w dłoni jako usposobienie oszczędności, oparta o dużą skarbonkę i zapraszająca ruchem wyrazistych oczu do składania w niej pieniędzy.* Jako tło obrazowi służył pejzaż z widokiem Stanisławowa. Prace zakończyły się uroczystym oddaniem wszystkich przebudowanych pomieszczeń na posiedzeniu wydziału Kasy 30 grudnia 1911 roku.

Kilka miesięcy później jej piękne wnętrza mógł podziwiać wyjątkowy gość. Był to następca tronu, arcyksiążę Karol Franciszek Józef, który podróżował konno i nie omieszkał odwiedzić trzeciorzędne miasto Galicji.

Na podstawie przebadanych źródeł trudno jest odtworzyć losy gmachu Kasy



w trakcie Wielkiej Wojny. Po zakończeniu działań wojennych instytucja ta nadal pracowała jak dawniej i była w dalszym ciągu jednym z najważniejszych budynków instytucji publicznych w Stanisławowie. To właśnie w tym miejscu odbyła się pamiętna Wystawa Historyczna Miasta Stanisławowa w 1928 roku, prezentowano też w jej wnętrzu ekspozycję utworzonego Muzeum Pokuckiego oraz na cyklicznych wystawach obrazy i rzeźby lokalnych artystów. Cele postawione jeszcze w latach 80. XIX wieku zostały w pełni zrealizowane. Gmach stał się siedzibą tej instytucji na ponad 50 lat, aż do pamiętnego września 1939 roku. To nic, że przez ten okres zmieniała ona kilka razy swoją nazwę. Według ostatniego statutu, gwarancję bezpieczeństwa finansów zapewniała już Komunalna Kasa Oszczędności miasta Stanisławowa. Mimo to z daleka nadal rzucały się w oczy pozłacane litery jej historycznej nazwy z napisem „Kasa Oszczędności”.

Paweł Brzegowy

Międzynarodowa konferencja naukowa z okazji 185. rocznicy urodzin prof. dra Benedykta Dybowskiego

W dniach 10–12 V 2018 r. we Lwowie w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska–Białoruś–Ukraina 2014–2020, odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa „Profesor Benedykt Dybowski – czołowy badacz wspólnego dziedzictwa przyrodniczego Polski, Białorusi i Ukrainy”, zorganizowana przez Muzeum Zoologiczne Wydziału Biologicznego Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II i Instytut Wiedzy Współczesnej im. Aleksandra Szynkowskiego w Mińsku.

Wydarzenie upamiętniające 185. rocznicę urodzin wybitnego zoologa, jednego z najznakomitszych polskich uczonych, sybiraka i społecznika, rozpoczęło w Bibliotece Naukowej wystąpienie prorektora Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego im. I. Franki Romana Hładyszewskiego. Słowa powitalne do uczestników konferencji skierowali również Leszek Buller – dyrektor Centrum Projektów Europejskich, Dina Gonczarowa – dyrektorka wykonawcza Centrum Międzynarodowej Pomocy Technicznej UE w Republice Białorusi, Rostysław Zamłyński z Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej oraz konsul generalny RP we Lwowie Rafał Wolski. Pierwszy z referatów autorstwa dra Igora Szydłowskiego – dyrektora Muzeum Zoologicznego Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego im. I. Franki, przybliżył sylwetkę naukową B. Dybowskiego ze szczególnym uwzględnieniem jego zainteresowań faunistycznych. Następnie Witold Adamowski przedstawił wartość limnologicznych badań Przyrodnika, zaś Aleksandr Kapiłow opowiedział o relacjach Dybowskiego z Białorusią. Dominika Mierzwa-Szymkowiak uwagę zogniskowała na kolekcji Profesora znajdującej się w Muzeum i Instytucie Zoologii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Sławomir Dorocki i Paweł

Brzegowy wyświetlili sylwetkę Dybowskiego jako społecznika. Ostatni z referatów pierwszego dnia obrad Łukasza Gawora i Piotra Dolnickiego traktował o Dybowskim jako prekursorze badań limnologicznych i badaczu terenów peryglacialnych. O godz. 15 odsłonięto tablicę pamiątkową w budynku Wydziału Biologicznego przy ul. Hruszewskiego 4, a następnie zgromadzonych gości oprowadzono po Muzeum Zoologicznym i dawnym domu Uczzonego przy ul. Kubańskiej.

Następnego dnia konferencja przeniosła się do Państwowego Muzeum Przyrodniczego Akademii Nauk Ukrainy (niegdysiejszego Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich). W pierwszym z referatów Jurij Czernobaj porównał kolekcje przyrodnicze Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego i B. Dybowskiego. Drugi z prelegentów Jarosław Korczak wygłosił prelekcję na temat dorobku publikacyjnego Profesora w świetle katalogu Biblioteki Narodowej w Warszawie. W ostatniej z prezentacji Oleh Iwanec przybliżył przebieg i wyniki badań hydrobiologicznych Dybowskiego na terenach Galicji. Po dyskusji podsumowującej i zwiedzeniu Muzeum uczestnicy konferencji udali się na sentymentalną wycieczkę po Lwowie. Drugi dzień obrad zakończyła uroczysta kolacja.

W sobotnie przedpołudnie na przybranej majową roślinnością Górcie Powstańców Cmentarza Łyczakowskiego na grobie Profesora złożono kwiaty i zapalono znicze. Okolicznościowo przemówienie wygłosił I. Szydłowski oraz doc. dr hab. Ewelina Hrycaj-Małańczak – prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie i Lwowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Tym samym konferencja upamiętniająca wielkiego Uczzonego i wysokiej klasy człowieka dobiegła końca. Rzeczony wydarzenie dowiodło, że ludzie oddani nauce w pamięci potomnych trwają pomimo upływu czasu.



Karolina Lanckorońska

STANISŁAWÓW

(marzec 1942–7 lipca 1942)

Prezentujemy poniżej fragment wspomnień Karoliny Lanckorońskiej (1898–2002) pochodzący z książki *Wspomnienia wojenne* wydanej przez Wydawnictwo ZNAK (niedawno edytowano drugie wydanie tej książki). Serdecznie dziękujemy wydawnictwu za wyrażenie zgody na wybór i publikację tekstu.

Tym razem dotarłam aż do Stanisławowa. (...) W Komitecie zastałam dziwny nastrój. Wszyscy tam mówili cicho i patrzyli przy tym na drzwi. Pytałam, o co chodzi. Powiedziano mi, że nie można mówić normalnie, bo ludzie Krügera są wszędzie. Powtórzono mi wówczas w formie bardziej obszernej całą sprawę zniknięcia owych 250 osób z inteligencji Stanisławowa, których zabrał Krüger, gdy tylko objął „rządy” w Stanisławowie. Była to dosłownie cała elita tego miasta, przede wszystkim nauczyciele szkół średnich i powszechnych, ale i wszelkie wolne zawody. Było tam sporo inżynierów i adwokatów. Był znany bardzo dyrektor szpitala, chirurg dr Jan Kochaj. Rozmawiałam z jego żoną, która mi przyniosła listy dziękczynne lotników niemieckich, którym jej mąż uratował życie, narażając własne, bo ich operował w sowieckim jeszcze Stanisławowie, gdzie ich zestrzelono. Przyszło nawet na skutek meldunku tychże lotników podziękowanie dla doktora Kochaja z Reichsluftfahrtministerium, podpisane przez Goeringa, ale dr Kochaj był już wówczas aresztowany. Zapytałam, czy ów dokument znajduje się w rękach żony. Odpowiedziała, że znikł w biurach niemieckich, dokąd został zaniesiony dla poparcia interwencji o zwolnienie. Od czasu tego aresztowania masowego znikali nadal Polacy, pojedynczo lub w większych grupach. Pytałam, czy więzienie jest duże i czy wywożą stamtąd transporty do Rzeszy. Powiedziano mi, że nic nie wiadomo o wywozach i że więzienie jest obszerne, składa się z dwóch gmachów sąsiadujących ze sobą, z więzienia pod zarządkiem władz

sprawiedliwości i z więzienia gestapo. Tym ostatnim zarządza sam Krüger, pierwszym – prokurator Rotter, od którego postanowiłam zacząć, ponieważ mi powiedziano, że nie jest wrogo do Polaków nastawiony.

Poszłam. Przyjął mnie człowiek może czterdziestoletni, raczej niski. Wyszedł na moje spotkanie, strasznie dużo mówił i z przesadną grzecznością zaprowadził do gabinetu. Szedł krokiem chwiejnym. Był pijany. Przedstawiłam mu sprawę, z którą przyszłam. Słuchał, widziałam, że pomimo swego stanu dobrze rozumie. Gdy skończyłam, odpowiedział, że akcja mnie powierzona jest mu znana, że nie miałby nic przeciwko prowadzeniu jej w więzieniu, które mu podlega, ale że w tym więzieniu nie ma Polaków. Tu sam sobie przerwał.

– Bardzo panią przepraszam za stan, w którym mnie pani zastała. Pewnie pani już o mnie opowiadali jako o pijanym prokuratorze. Rzeczywiście, znów za dużo wódki wypilem, ale wiem, co mówię. Ja Polaków nie zamykam. Przyjechałem tu z Rzeszy jako wasz wróg, nauczyłem się tutaj was szanować, więzienie swoje rezerwuję dla Ukraińców. Jest tam zresztą paru, bardzo nielicznych Polaków – przestępców.

– Więc wszyscy więźniowie polityczni są w tamtym więzieniu? – zapytałam.

– Jacy wszyscy, co to znaczy wszyscy? – pytał z rosnącym podnieceniem.

– Ci wszyscy, których tutaj aresztowano od początku, od wkroczenia Niemców, przede wszystkim owych 250 osób, nauczycieli, inżynierów, lekarzy, których zabrano natychmiast, a potem długi szereg tych, którzy po nich nastąpili.

– Sporo więźniów tam zapewne Krüger ma, ale wątpię, czy się zgodzi na dożywanie. – Czułam, że prokurator nie mówi wszystkiego, co myśli, i że ze względu na silne zamroczenie można wyciągnąć więcej. – Tam musi być ogromne więzienie, przecież zaaresztował wieśset Polaków – ciągnęłam dalej.

Milczenie.

– Tam jest mało ludzi – odrzekł wreszcie szczerze.

– Pytam więc pana, panie prokuratorze, gdzie jest reszta, gdzie jest cała inteligencja Stanisławowa? – powiedziałam głośno.

Prokurator wstał, oparł się o fotel, pochylił się ku mnie przez poręcz. Chwila ci-



szy. – *Die sind alle längst tot!* (Wszyscy od dawna nie żyją!) – wrzasnął nagle. – *Tot, ja tot!* – ciągle powtarzał, gdy milczałam. – *Krüger hat sie erschossen, vor ich kam, ohne Recht, ohne Gericht. Wissen Sie, was das für einen Staatsanwalt ist?* (Krüger ich rozstrzelał, zanim przyjechałam, bezprawnie, bez sądu.

Wie pani, co to znaczy dla prokuratora?). Może pani pójść do niego, to wszystko mu powiedzieć, mnie już obojętne, co mi zrobią.

Wreszcie usiadł z powrotem, zapanowała głucha cisza po tych jego krzykach. Po chwili powiedziałam, że muszę się dostać do Krügera i starać się o zaprowadzenie dożywiania dla tych, którzy tam obecnie są.

– Pójdę z panią do niego, inaczej się pani do niego nie dostanie.

Zatelefonował w mojej obecności i zapytał Krügera, czy może przyjść ze mną. Zamówił u niego wódkę, aby – jak mówił – wypić we trójkę. Odrożył słuchawkę.

– Zgodził się. Idziemy.

Gdy wychodziłam, jego zastępca o polskim nazwisku podał mi futro i szepnął mi przy tym szybko do ucha:

– On jest wprawdzie pijany, ale to, co powiedział, jest prawdą. Słuchałem z drugiego pokoju.

Wyszliśmy na mróz. Rotter otrzeźwiał. Idąc, patrzył na mnie i zaczął mówić zupełnie spokojnie, że się nie dziwi, jeśli jestem wstrząśnięta tym, co mi powiedział. Nie odpowiedziałam. Dochodziliśmy do drugiego gmachu na ul. Bilińskiego, obecnie Strasse der Polizei czy Strasse der SS (nie pamiętam). Przy wejściu puszczono nas bez trudu. Weszliśmy na górę. Tam w przedpokoju pracowała maszynistka. Siedliśmy na obitych malinowym adamaszkiem krzesłach. Po chwili utworzono nam drzwi. Weszłam pierwsza, za mną prokurator. Z drugiej strony dużego podłużnego pokoju zza biurka wstał człowiek bardzo wysoki, raczej otyły, młody, lat miał może trzydzieści dwa lub trzy,

o włosach bardzo jasnych. Miał usta bardzo duże, silnie naprzd wysunięte, wargi grube, szczękę masywną. Ta dolna część twarzy była bardziej akcentowana od górnej, od wybitnie białych, wypukłych, jasnostonalowych oczu patrzących przez okulary bez oprawy. Kazał nam usiąść na fotelach. Prokurator mu wytłumaczył, z czym przyjechałam. Krüger przejrzał moje papiery uważnie, potem popatrzył na mnie jeszcze uważniej, lekko przymrużając niesamowite, blade oczy. Patrzyłam i ja, możliwie spokojnie. Ale dziwnie trudno mi było tym razem zachowywać się obojętnie i ukryć prawie żywiołowy wstręt, jaki mnie ogarnął przy wejściu. Przecież. dopiero parę minut wcześniej dowiedziałam się, kim jest ten człowiek, a zaraz potem musiałam normalnie z nim mówić. Było ciężko. Wreszcie się odezwał, mówiąc krótko, że ponieważ nie sposób rozgraniczyć więźniów polskich, ukraińskich czy żydowskich, osobnego dożywiania Polaków być nie może. Odpowiedziałam, że może być dożywianie wspólne, jak we Lwowie. Oświadczył, już bez podania powodu, że to nie jest możliwe. Zezwolił jedynie na przysłanie koców, grzebieni, szczotek do zębów itd. Było to pierwsze i jedyne więzienie, do którego dożywianie RGO pomimo naszych starań nigdy nie dotarło. (...)

W marcu zaczęłam pracę w Stanisławowie. Szło jak po grudzie. Liczba potrzebujących była ogromna, możliwości pracy ograniczone, dowóz z zachodu niepomiernie utrudniony, a szkany ukraińskie nie do zliczenia. Lęk przed Krügerem trwał. Mieszkańcy Stanisławowa nie zapominali nigdy o owych pierwszych aresztowaniach masowych i nie tracili nadziei, że ci ludzie, najbardziej szanowani i lubiani, najbardziej wartościowi, jednak żyją. Musiałam ciągle z nimi na ten temat rozmawiać, nie zdradzając tajemnicy, którą mi powierzył pijany prokurator. Podtrzymywały ten lęk przed katem coraz to nowe aresztowania; sporadycznie dowiadывaliśmy się, że ten czy ów został zabrany. Był to wówczas stan normalny w całej Generalnej Guberni, ale w Stanisławowie było pod tym względem inaczej, bo nikt nigdy nie otrzymał znaku życia od uwiezionych. (...) Na Wielkanoc pojechałam do Krakowa i Warszawy. (...)

W Warszawie przedstawiłam gen. Komorowskiemu sprawę Stanisławowa i prosiłam,

aby nasza propaganda w Londynie nie dała na razie tej sprawie rozgłosu, gdyż sparaliżowałoby mi to wszelką pracę na przyszłość. Rozmawialiśmy wówczas dwukrotnie i długo. Generał kazał mi za następnym razem przyjechać na parę dni, żeby był czas na nawiązanie kontaktu z Dowódcą Naczelnym (generałem Grotelem), który chce mnie widzieć i mieć bezpośredni pełny meldunek o akcji więziennej. Ucieszyłam się ogromnie, gdyż od dawna pragnęłam poznać człowieka, który tyle dla nas znaczył. Musiał to być „urodzony” dowódca, skoro się go czuło wszędzie! O mojej pracy był poinformowany od dawna, skoro mi przesłał Krzyż Walecznych. Teraz szansa osobistego spotkania ucieszyła mnie bardzo. Komorowski nie był zachwycony moją nową robotą. W chwili, gdy się z nim żegnałam, powiedział nagle z niezwykłą ostrością:

– Nie zezwalam pani na jakiegokolwiek kontakty wojskowe na wschodzie. W tej chwili tam teren jest gorący, są wyspy. Jasne, że ludzie będą czuli zaufanie do pani i będą próbowali nawiązać z panią kontakt konspiracyjny, bo potrzebują pomocy w pracy organizacyjnej, lecz nie wolno pani tego ryzykować. Tylko proszę szybko tam sprawę załatwić i wrócić do opieki więziennej.

Było to we wtorek 8 kwietnia. W parę dni potem byłam znów w Stanisławowie, tym razem w towarzystwie Maryli Dmochowskiej z Tarnowa, która przyjechała, by mi pomóc. Dzięki jej ogromnym wysiłkom praca postąpiła znacznie naprzód, tak w samym Stanisławowie, jak w Kałuszu i w Kołomyi. Komitety się utworzyły, dożywianie dzieci się rozpoczęło. Liczyliśmy z Marylą, że w połowie maja będzie można wyjechać i wrócić do normalnej pracy. (...)

Atmosfera w Stanisławowie jak zawsze była ciężka. Jedyłą pociechą była robota i Maryla, z którą się wówczas związałam głęboką przyjaźnią. Próbowaliśmy raz czy dwa dostać się do Krügera, żeby go „poinformować o moich osiągnięciach”, jak tego zażądał wówczas, gdy udzielił zgody na mój pobyt w Stanisławowie, lecz mnie nie przyjął. Wreszcie zaniechałam tych starań i pracowałam dalej.

Wtem Krüger wezwał mnie do siebie na sobotę 25 kwietnia na godzinę dziesiątą. Poszłam. Kazał mi czekać, jak zwykle, na malinowym krześle w przedpokoju. Po

chwili weszłam. Tym razem Krüger nie był sam; blisko biurka, przy stoliku, siedziała sekretarka. Krüger nie wstał, nie patrząc na mnie, wskazał mi zza biurka krzesło naprzeciw siebie i powiedział:

– *Ich muss Sie sicherheits polizeilich verhören* (muszę panią policyjnie przesłuchać).

Siadłam i zapytałam o przyczynę.

– Pani tu w Stanisławowie rozwija akcję niedozwoloną – powiedział bardzo głośno.

Pokazałam mu swoje pełnomocnictwa i zwróciłam uwagę, że są one znacznie szersze od mojej dotychczasowej czynności oraz że mi władze niemieckie we Lwowie, które się zajmują aprowizacją, już zwróciły uwagę, gdy przysłałam do nich w sprawie należących się nam prowiantów, że akcja, którą prowadzę, rozwija się zbyt wolno. Zmienił front i oświadczył, że:

– Właśnie chodzi o to, że pani ma system nie tyle robienia rzeczy nielegalnych, ile że pani wykorzystuje akcję charytatywną dla celów innych.

– Nie wiem, o co panu chodzi

Otrzymałam odpowiedź:

– *Ihr Geist gefällt mir nicht, Sie passen mir nicht in mein Reich* (Pani duch mi się nie podoba; nie pasuje mi pani do mojego państwa).

To ostatnie zdanie widocznie bardzo mu się podobało, bo je powtarzał kilkakrotnie w ciągu dalszej rozmowy, waląc za każdym razem pięścią w stół.

– Muszę pani zadać kilka pytań: Czy pani uznaje rozbitcie Państwa Polskiego?

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że widzę, iż postanowił mnie aresztować, bo przecież nie może mieć wątpliwości co do mojej odpowiedzi.

– Dlaczego pani jest taka spokojna? – pytał z rosnącą irytacją. – Przecież znajduje się pani w największym niebezpieczeństwie. *Sie schweben in höchster Gefahr*. Pytam na nowo, niech pani pilnuje swoich odpowiedzi! Czy pani jest wrogiem Niemiec?

– Pan wie, że jestem Polką, i wie pan również, że Polska jest w wojnie z Niemcami.

– Pani ma odpowiedzieć na moje pytanie. Czy pani jest wrogiem Rzeszy Niemieckiej? Tak czy nie?!

– Oczywiście, że tak.

– *Also endlich!* (A więc nareszcie!) – i rzucił triumfalne spojrzenie na sekretarkę.

– *Notieren!* (Notować!) – dodał dobitnie. Dziewczyna, pisząc, kiwnęła głową. Zwrócił się znów do mnie.

– *Seit wann?* (Od kiedy?)

– Odkąd patrzę na bezmierne cierpienia moich braci.

Wówczas zaczął mówić o swojej nienawiści do Polaków i o prześladowaniu Niemców przez Polaków. Myślę, że rozpoczął to przemówienie z zamiarem straszenia mnie, w miarę zaś, jak mówił, miałam wrażenie, że sam siebie podnieca, aż wreszcie krzyczał, tupał nogami i walił pięściami w stół, przy czym i tak już wysunięte bardzo usta zamieniały się prawie w ryj i nadawały mu wyraz zwierzęcy. Wysłuchałam tego wszystkiego spokojnie, bo mi nic innego nie pozostało. Coraz to sam sobie swój potok złorzeczeń na Polaków przerywał, robiąc mi wyrzuty za ten mój spokój i obiecując mi, że mnie wyprowadzi z równowagi. To mnie oczywiście jeszcze bardziej uspokajało. Powiedziałam mu, że zrozumieć nie mogę, dlaczego Niemcy, którzy swą narodowość cenią tak bardzo wysoko, nie potrafią uszanować poczucia honoru narodowego u innych. Spuścił oczy i powiedział innym głosem:

– Przecież to jest coś innego.

– Na pewno, to jest coś całkowicie innego – odpowiedziałam. Zamilkł. (...)

Nagle, w środku tej sceny, widocznie sobie przypomniał, że mi jeszcze nic konkretnego nie udowodnił. Powiedział, że nigdy nie uwierzy, że osoba taka jak ja nie należy do organizacji konspiracyjnej. Powiedziałam, że się przekona, jak sprawę zbada. Zapytał wtedy, jak się odnoszę do polskiej pracy podziemnej. Wiedziałam, że jeśli na to stereotypowe pytanie odpowiem negatywnie, nie uwierzy. Powiedziałam więc, że do tej pracy odnoszę się z entuzjazmem. Podskoczył na krześle, przechylił się przez biurko i zapytał:

– Gdzie pani pracowała, jakie pani miała funkcje?

– Nigdzie nie pracowałam, żadnych funkcji nie miałam. – Zachnął się.

– Co to znaczy! Raz pani mówi, że się do tej pracy odnosi z entuzjazmem, a potem znów wypiera się jej!

– Jestem Polką, jak panu wiadomo. *Nationalpolin* – trudno więc przypuszczać, abym się do pracy, która dąży do uwolnienia mego narodu, nie odnosiła z entuzjazmem.

– A więc pytam po raz drugi: gdzie pani pracowała?

– Nigdzie, powtarzam, bo do pracy konspiracyjnej potrzeba czegoś więcej niż entuzjazmu.

– Czego?

– Potrzeba przede wszystkim człowieka, który proponuje tę pracę, a mnie nikt nigdy niczego nie proponował.

Widziałam, że mi nie wierzy i że się losy moje ważą w tej chwili. Mówiłam więc dalej:

– Myślę, że są dwie po temu przyczyny. Ludzie, którzy tę pracę prowadzą, wiedzą, że pracuję w legalnej organizacji charytatywnej. Widocznie są tego samego co i ja zdania, że spełniam w ten sposób swój obowiązek narodowy i niczego więcej ode mnie nie chcą. Poza tym być może, że dla zbyt szczerzego usposobienia i dlatego, że jestem bardzo wysoka, mówię dużo i głośno, silnie gestykuluję, uważano, że się nie nadaję na konspiratorkę, co jest słuszne, bo nie widzę siebie np. rzucającej bomby pod pociągi.

Krüger słuchał z rosnącym zdziwieniem. Raz, podczas gdy mówiłam, zwrócił się do sekretarki i powiedział:

– *Noch nie gehört. Notieren!* (W życiu czegoś takiego nie słyszałem. Notować!)

Wreszcie popatrzył mi w twarz, co podczas tej całej przeprawy robił bardzo rzadko, przymrużył oczy i zapytał:

– *Oder sind Sie am Ende ganz gescheit?* (Może nie jest pani taka nierozgarnięta?)

Uśmiechnęłam się głupio. Wzruszył ramionami – czułam, że uwierzył. Wiedziałam, że Niemcy w swej bezgranicznej zarozumiałości nie użyliby nigdy wykrętu, który by ich samych ośmieszył. Dlatego mi Krüger uwierzył, gdy mu powiedziałam, że mnie w konspiracji nikt nie chciał, bo za dużo gadam, gdyż Niemiec by nigdy tego o sobie nie powiedział. Był zaskoczony, dlatego wygrałam.

Zmienił temat. Wrócił do mojej pracy w Stanisławowie i zarzucił mi, że moi współpracownicy są konspiratorami. Zapytał o nazwiska osób pracujących w Komitecie. Powiedziałam, że wszystkich nazwisk na pamięć nie powiem i zaproponowałam sprostowanie Maryli Dmochowskiej ze spisami osób współpracujących ze mną pośrednio czy bezpośrednio. Zależało mi oczywiście bardzo na zobaczeniu się z Marylą. Kazał mi zatelefonować w swojej obecności. Po

dłuższej chwili Maryla przyszła. Gdy weszła, widać było, że nie ma pojęcia, w jakiej się znajduje sytuacji, dopiero gdy już podała Krügerowi spis, postarałam się ją informować spojrzeniem, bo innego sposobu nie miałam. Zbladła jak papier. Krüger, czytając nazwiska, liczył je na własnych palcach, przy czym zauważyłam, że jego kciuk był prawie równej długości z palcem wskazującym. (...)

Nagle sam sobie przerwał i oświadczył mi, że mnie nie aresztuje, żebym to, co zaszło, przyjęła jako ostrzeżenie i że mogę jechać do Lwowa. Następnie sam mnie ze schodów sprowadził, idąc krok za mną po stronie lewej. (...)

W godzinę potem jechałam do Lwowa, co było poprzednio już w moim programie. Już na dworcu ledwie się na nogach trzymałam ze zmęczenia, w pociągu usnęłam jak kamień pomimo przepelnienia.

We Lwowie załatwiłam sprawy służbowe, potem spotkałam się z najbliższym przełożonym z Krakowa. Miałam więc możliwość przekazania Dowódcy sprawozdania o zajęciu w Stanisławowie. Spędziłam we Lwowie dwa dni i wróciłam do roboty. Tam się wkrótce przekonałam, że jestem pod obserwacją. Ponieważ nic „nielegalnego” nie robiłam, raczej się tym faktem cieszyłam. Myślałam, że się Krüger może uspokoi, jak się przekona, że tu w Stanisławowie robię wyłącznie robotę jawną. (...)

Robota postępowała nie tylko w Stanisławowie, ale i w Kałuszu i Kołomyi. Tam nareszcie zestawiałam Komitet. 12 maja rano ciężarówką przybyłą ze Lwowa jechałam do Kołomyi. (...)

Otrzymałam nareszcie w starostwie kwity na żywność, o które tyle walczyłam. Za dwa dni rozpocznie się dożywianie dzieci szkolnych w Kołomyi! Byłam szczęśliwa. (...)

Poszłam do pani Pawłowskiej, nauczycielki gimnazjalnej, u której mieszkalam i gdzie o ósmej miało się odbyć zebranie organizacyjne Komitetu. Złożyłam sprawozdanie z działalności przygotowawczej, zdałam odpowiedzialność na nowy Komitet i oddałam mu karty żywnościowe. Byliśmy w bardzo dobrym nastroju. Wtem ktoś zadzwonił do drzwi. Pani Pawłowska wyszła i po chwili wróciła z trzema mężczyznami, z których jeden był ubrany po cywilnemu, dwaj inni w mundurach SS. Zapytali o mnie i wylegitymowali mnie. Krzyczeli, że

jest to tajne, nielegalne zebranie. Zaprzeczyłam. Niech się informują w starostwie. Kazali się wszystkim rozejść, tylko mnie zaaresztowali. (...)

Poszliśmy. Zaprowadzono mnie do wygodnego samochodu osobowego. (...)

Byłam bardzo zmęczona, zasnęłam więc głęboko. (...)

Samochód w drodze się zepsuł. (...)

Wreszcie (...) wóz naprawili (...) i ruszyliśmy. W Stanisławowie pojechaliśmy wprost przez miasto do więzienia. Brama przy bocznej ulicy się otwarła, wjechaliśmy na podwórze, brama zamknęła się za nami. Kazano mi wysiąść i zaprowadzono do budynku głównego, w którym na I piętrze urzędował Krüger. Wprowadzono mnie do kancelarii na parterze, tam mnie zapytano o nazwisko, imię itd. i wylegitymowano mnie. Zapytałam, co to ma właściwie wszystko znaczyć.

– *Sie sind doch verhaftet* (Jest pani aresztowana) – brzmiała odpowiedź.

Za chwilę prowadzono mnie znowu przez podwórze do niższego, podłużnego domu, na długim korytarzu otwarto pierwsze drzwi i zapalono światło. Stały tam dwie żelazne prycze. (...) Drzwi za mną zamknięto. (...)

Rano kazano wstać, umyć się i zaprowadzono mnie do kancelarii w tym samym budynku. Tam przyjął mnie szef więzienia, nazwiskiem Maes czy Maas. Powiedziałam mu, że proszę, aby mnie jak najprędzej przesłuchano, bo jestem przekonana, że zostałam aresztowana przez pomyłkę. Odebrano mi wszystko, co miałam przy sobie, z wyjątkiem rzeczy do mycia oraz maleńkiego brązowego krzyżyka z Asyżu, który zdążyłam ukryć, i kazano wrócić do celi. (...)

Po chwili strażnik wrócił i kazał mi iść ze sobą. Szliśmy znowu przez podwórze do głównego budynku na ul. Bilińskiego, schodami do góry, do Krügera. Kazano czekać w dobrze mi znanym przedpokoju. Siadłam na jednym z malinowych krzesel. Sekretarka weszła do Krügera, po chwili wyszła i oświadczyła mi, że Hauptsturmführer zabrania mi siedzieć na krześle, mam wstać. Wstałam więc i dopiero teraz – tyle mi potrzeba było czasu i dowodów – dopiero teraz zrozumiałam, że mnie Krüger zamknął! Człowiek, który nigdy nie był po tamtej stronie życia, prawdopodobnie tego zrozumieć nie może, trudno mu to wytłumaczyć, natomiast zrozumie człowiek, który wyszedł z bardzo

ciężkiej choroby fizycznej; ten też zapewne wie, że w chwilach zagrożenia życia nadzieja jest tysiąc razy silniejsza od logiki. (...)

Więzień (...) CHCE ŻYC – i tu potężny instynkt zwierzęcy jest silniejszy od ludzkiej logiki czy rozumu.

Z drugiej strony pewność, że jestem aresztowana – i to przez Krügera – dała mi w tej chwili dużą siłę i dużo spokoju. Kazano mi wejść. Tym razem byliśmy sami, bez sekretarki. Gdy weszłam, Krüger znów oczu nie podniósł, tylko powiedział:

– A więc widzimy się znowu, a zwyciężyłem ja. Pani pojedzie do obozu koncentracyjnego Ravensbrück bei Fürstenberg, Mecklenburg.

– Kiedy? – zapytałam. Uderzył pięścią w stół i znów zaczął z miejsca krzyczeć:

– Co? Jeszcze! Jeszcze pani ma odwagę!

Roześmiałam się.

– A cóż mi innego pozostaje? – zapytałam. – Chcę wiedzieć, kiedy jadę.

– Nie wiem. Zależy to od terminu transportu zbiorowego; stąd do Krakowa, a z Krakowa do Rzeszy. – (Gorzej, pomyślałam. – Bo jak mnie zamkną po drodze na Montelupich – tam jest sporo naszych, wśród nich paru sypiących).

– Chcę, żeby pani wiedziała, że decyzja ta zapadła wskutek odpowiedzi, które mi pani dała przeszłym razem. Gdyby mi pani była odpowiedziała inaczej, nie byłaby pozbawiła swego kraju tej pracy, którą mu pani dawała.

Tym razem po raz pierwszy mu się udało. Było mi ciężko bardzo. Pomyślałam o więzieniach i zapytałam raz jeszcze siebie samej, czy dałam jakąkolwiek odpowiedź brawurową lub niekonieczną. Wydawało mi się, że nie.

– Nie mogłam odpowiedzieć inaczej, bo nie mogłam stracić szacunku dla siebie samej, bez którego i tak nie potrafiabym pracować – odpowiedziałam. – Choć jestem tylko *ein polnischer Untermensch*, zechce mi pan pozwolić zacytować mu Schillera, który mówi:

*Das Leben ist der Güter höchstes nicht,
Der Übel grösstes aber ist die Schuld*
(Życie nie jest najwyższym dobrem
Ale wina jest najwyższym złem.)

Tu zrobił minę komicznie zrozpaczoną, powiedziałam mu więc:

– To bowiem jest zakończenie *Braut von Messina*.

– *Ja, ja* – kiwnął głową skwapliwie.

– Życie nie jest najwyższym dobrem, złem największym jest tylko wina, i jako winę byłabym odczuła jakąkolwiek inną postawę wobec pana.

Milczenie. Potem przeszedł na inny temat i powiedział, że poza tym spotka mnie tam kara za postawę, którą zajęłam, choć jestem córką Niemki.

– Pani jedzie do obozu jako renegatka.

– To jest nominacja – odpowiedziałam.

Znowu nastąpiła przerwa i powiedział, że takiej odpowiedzi jeszcze nie słyszał, nie bardzo wie, co ona ma znaczyć. Potem zaczął znowu krzyczeć i wymyślać na Polaków, którymi gardzi, bo nie mają hartu i postawy. Tym razem też roześmiałam się.

– Tego to nawet wy nie potraficie powiedzieć na serio.

Nagle mnie zapewnił, że dysponuje wszelkimi sposobami, żeby mi uniemożliwić samobójstwo. Powiedziałam, że mu to przyjdzie łatwo, bo nie mam najmniejszego zamiaru targnięcia się na własne życie – raz, bo tego uczynić nie mogę, skoro mi na to nie pozwalają moje przekonania katolickie (tu wyszczerzył zęby), po drugie, bo nie chcę. Mając bowiem końskie zdrowie, gotowam nawet wytrzymać obóz koncentracyjny. Znowu mi zaczął obiecywać, że mnie złamie. Powiedziałam, że oczywiście mogę za siebie ręczyć tylko póki będę przy zdrowych zmysłach, w razie choroby umysłowej – co innego. Był wyraźnie zły, że omawiam z nim wszelkie możliwości, więc powiedziałam, że przypuszczam, że to wszystko będzie nieaktualne, gdy sprawa moja będzie załatwiona w sposób prostszy i szybszy.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Że nie przypuszczam, że stąd wyjdę z życiem.

– Pani od chwili, gdy jej powiedziałem, że jest aresztowana, liczy się ze śmiercią?

– No, oczywiście.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tu jestem.

Żachnął się. Wreszcie zapytał o szczegóły aresztowania. Powiedziałam, że wzięto mnie w Kołomyi, na zebraniu RGO, o którym twierdzono mylnie, że jest nielegalne.

– To był tylko pretekst. Posłałem po panią do biura pani tu, w Stanisławowie, tam

powiedziano, że wyjechała pani do Kołomyi. Nie mogłem ryzykować, że ją uwiadomią, posłałem więc tam po nią.

Kamień mi z serca spadł, bo dopiero teraz byłam pewna, że się członkom powstałego wczoraj Komitetu w Kołomyi nic nie stanie.

Byłam już zmęczona. Wtem Krüger zapytał, co o nim myślą w Stanisławowie. Odpowiedziałam wymijająco. Zaczął się znowu pienieć i powtórzył pytanie.

– Boją się pana. Z pana nazwiskiem łączę aresztowanie 250 osób – nauczycieli, inżynierów, lekarzy.

– Po prostu inteligencji polskiej – prze-waża mi, śmiejąc się i potakując głową.

– Szczególną uwagę zwraca się na fakt arestowania chirurga, doktora Jana Kochaja, który uratował życie czterech lotników niemieckich, narażając własne, bo uważał to za swój obowiązek lekarski. I ten znikł bez śladu. Podziękowanie z Reichsluftfahrtsministerium nawet przyszło, lecz go już nie zastało.

– Podziękowanie Kochaj otrzymał. Przeszło przez moje ręce – powiedział Krüger.

– I tego człowieka pomimo to nie zwolniono? – zapytałam.

– Co to ma jedno do drugiego? – zapytał zdziwiony. – Przecież my, kiedy wkraczymy, zawsze już mamy gotowe spisy tych osób, które mają być aresztowane. To zawsze tak jest. Wie pani, gdzie również tak było? – tu się roześmiał dziko.

Byłam zdezorientowana. Nie wiedziałam, do czego zmierza, a on już mówił dalej.

– We Lwowie! Czy pani wie, o czym mówię w tej chwili? We Lwowie! – znowu dziki śmiech. – Tak, tak. Profesorowie Uniwersytetu! Ha, ha, to moje dzieło, moje! Dziś, gdy pani już nie wyjdzie, mogę jej to powiedzieć! Tak, tak, w... (tu wymienił jakiś dzień tygodnia, wydaje mi się, że czwartek) – kwadrans po trzeciej rano...

Teraz patrzył mi w oczy. Mam wrażenie, że widział, że tym razem mu się udało, że strzał był celny, bo się wyraźnie cieszył. Mnie się tymczasem zdawało, że mi ktoś wbija młotkiem w mózg takie słowa: *A więc oni nie żyją, a mordercą jest TEN!* I szybko, jak we śnie, mignęły mi postacie Renckiego, Dobrzanieckiego, Ostrowskiego i tylu innych. Widziałam zgasłą twarz pani Longchamps... pomyślałam o Wólce, o tym, jak tam pro-

wadzono o świcie grupę osób, w tym jedną kobietę kulawą... Pani Ostrowska miała chorą nogę... A Krüger tymczasem mówił dalej, ciągle patrząc na mnie.

– Tak, wtedy byłem we Lwowie krótko, z oddziałem gestapo, przydzielonym do Wehrmachtu. (Przypomniałam sobie Feldgestapo). Poszliśmy zaraz dalej na wschód, później wróciłem tutaj.

Nie pamiętam dokładnie dalszego przebiegu rozmowy, bo mnie pochłaniała myśl o profesorach, wiem tylko, że w chwilę później zaczął znów krzyzczeć, że mu stawiam opór, że mnie jednak złamię itd. (...)

– Pomimo to i pomimo traktowania, na jakie zasługują Polacy, z panią będę się obchodził inaczej – tu się uklonił – *ich werde Sie ritterlich behandeln* (Będę traktować panią po rycersku) – powiedział dobitnie.

Na to słowo się wzdrygnęłam. W tym momencie dostał szału. Myślałam, że rozbije masywne biurko, przy którym siedział. Walił rękami i nogami i wył zupełnie jak zwierzę.

– Co? Moją rycerskość pani odrzuca? Ja do pani przemówiłem jako oficer, a pani widzi we mnie gestapowca! Po prostu gestapowca pani we mnie widzi. Nieprawda?

– Oczywiście – odrzekłam.

– A pani myśli, że gestapo nie ma honoru? – To ostatnie zdanie powtórzył kilkakrotnie, krzyżąc coraz nieprzytomniej. – Ale ja pani mówię, że gestapo ma swój honor, wbrew temu wszystkiemu, co pani o nas myśli. A wie pani, co to jest za honor? *Deine Ehre heisst Treue*. Twojemu honorowi na imię wierność. Czy pani to rozumie? Gestapo ma swój honor. *Deine Ehre heisst Treue*. Więc Pani odrzuca moją rycerskość?!

– Przecież pan rozumie, że byłoby to dla mnie upokorzeniem.

– A więc czego pani chce?

– Chcę być traktowana na równi z innymi Polakami.

– Dobrze! – wstał, zadzwonił, kazał mnie wyprowadzić.

Wróciłam do celi. (...) Pierwsza myśl, która doszła do mojej świadomości, była: Profesorów zamordował. Druga była inna, egoistyczna: Jeśli ci to powiedział, to ma zamiar z tobą zrobić to samo – to jasne. (...) Rozpoczęłam żywot więzienny.

Wybór tekstu i skróty: Krystyna Stafińska

W Krakowie i dalej

Klub „Pod Gruszką”

Spotkania w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, organizowane przez Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, nadal odbywają się w pierwsze wtorki każdego miesiąca. W I półroczu 2018 roku było kilka interesujących spotkań, o których warto słów parę napisać.

9 stycznia gościliśmy zespół instrumentalno-wokalny „Promyki Krakowa” ze Szkoły Muzycznej im. Mieczysława Karłowicza, założony i prowadzony od 30 lat przez Romę Doniec-Krzemień. Spotkanie było niezwykle interesujące, mieliśmy bowiem okazję obejrzeć film dokumentalny *Honor generała*, a także relację z uroczystości z okazji 50. rocznicy śmierci jednego z najbardziej zasłużonych dla Polski synów Ziemi Stanisławowskiej, generała Stanisława Sosabowskiego. Uroczystości odbyły się w Stanisławowie 25 listopada 2017 roku w Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego. „Promyki Krakowa” uświetniły tę uroczystość pięknym programem, przygotowanym przez Romę. Ponieważ był to styczeń, jeszcze okres świąteczny, po prelekcji i relacji kolędowaliśmy, aby naszej tradycji stało się zadość.

6 lutego dr Karolina Grodziska opowiedziała nam o zapomnianych lwowskich dziennikarzach, Janie Zahradniku i Michalinie Grekowicz-Hausnerowej. Bardzo ciekawą nas opowieścią Pani Karoliny, bo zwykle z lwowskich zakamarków wydobywa postacie, które, jak się okazuje, są bardzo interesujące. Na spotkaniu Prelegentka prezentowała także 2 książki traktujące o każdym z wymienionych dziennikarzy.

Spotkanie 6 marca było niezwykle, albowiem odbyła się prezentacja pięknego wydawnictwa Muzeum Niepodległości w Warszawie, książki pt. *Dziedzictwo i pamięć Kresów Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej. II Muzealne Spotkanie z Kresami* pod redakcją dra Tadeusza Skoczka. Książ-

ka to niezwykła, zawiera bowiem zarówno bogatą ikonografię, jak i zbiór referatów o tematyce kresowej. To źródło wiedzy o związanych z Kresami ludziach, wydarzeniach, miejscach, a także kolekcjach i zbiorach, znajdujących się w różnych placówkach muzealnych dotyczących Kresów.

Spotkanie otworzył i gości przywitał pan Janusz Paluch, kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków, książkę prezentował dr Tadeusz Skoczek, dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie. Spotkanie zaszczylił także swoją obecnością i słowem dr Stanisław Dziedzic, dyrektor Biblioteki Kraków. Wieczór poprowadził znany propagator historii i kultury Kresów Krzysztof Bąkała. Podczas spotkania dopisała frekwencja, sala Baltazara Fontany była wypełniona po brzegi, a po spotkaniu można było nabyć tę cenną publikację, tym bardziej cenną, że ukazała się ona w nakładzie tylko 1000 egzemplarzy.

10 kwietnia wieczór poświęcony był jednemu z najwspanialszych lwowskich architektów, Julianowi Oktawianowi Zachariewiczowi. Spotkanie było z natury rzeczy niezwykle, albowiem naszym gościem był Sławomir Zachariewicz, prawnuk Juliana. Niestety rzadko dziś się zdarza, aby potomkowie interesowali się swoimi przodkami, zwłaszcza tymi, którzy dokonali rzeczy niezwykłych. Relacja pana Sławomira poprowadziła nas przez życie rodziny Zachariewiczów, twórczość pradiadka, ale także mogliśmy uczestniczyć w „podróży” prawnuka i poszukiwaniu przez niego rodzinnych śladów, zdarzeń, a zwłaszcza dokonań pradiadka. Pierwszy raz pojechał do Lwowa w 2014 roku i od tej pory wciąż tam wraca!

10 maja mieliśmy niezwykle przyjemność – „spotkaliśmy się” z Witoldem Szolginią w sympatycznej filmowej opowieści o tym niezwykłym lwowiaku. Zbigniew Herbert nazwał Szolginię „Strażnikiem Miasta i Grobów”.

5 czerwca ostatnie spotkanie przed wakacjami wypełniła prelekcja panów z Instytutu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego, Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego na temat: *Benedykta Dybowskiego starania o umoralnienie ludzkości*.

I tak zamknęło się I półroczcie naszych spotkań w 2018 roku.

Anna Stengl

Ta, co pani powie?...

*Lwowski bałaku! Śliczna mowo!,
Z polskich akcentów najpiękniejszy
Tu każde poszczególne słowo
Ma swą melodię...*

Andrzej Chciuk,
Pamiętnik poetycki, 1961

Ukazała się publikacja przygotowana przez rodowitego lwowianina Stanisława Domagalskiego pt. *Bałak lwowski. Mowa przedwojennego Lwowa* (Wydawnictwo AA, Kraków 2018, 255 stron, wzbogacona fotografiami Lwowa). Interesująca jest koncepcja autora, który sporządził dwie części słownika, mianowicie *Słowniczek lwowskiego bałaku (z tamtego na tutejsze)* i *Słowniczek lwowskiego bałaku (z tutejszego na tamtejsze)*. Ta druga część to nowość, wszystkie dotąd wydane publikacje zawierają znaczenia „w jedną stronę”, czyli „z tamtego...”. Autor, prócz poszczególnych słów, dodaje także użycie ich w kontekście, a to dodatkowo wzbogaca wartość omawianej publikacji.

Całość zamyka rozdział pt. *Lwowski lwowiak*, w którym tekst, w przewadze bałakiem pisany, znacznie przybliży atmosferę miasta Lwowa w szerokim tego słowa znaczeniu.

Dla tych, którzy kochają Lwów, batiarów i ich bałak, warto przypomnieć kilka opracowań, w których ta niezwykła lwowska mowa, którą słyszeć było na batiańskich przedmieściach, ma swoje ważne miejsce.

Zofia Kurzowa wydała obszernie opracowanie pt. *Polszczyzna Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich do 1939 roku* (PWN, 1985). Szeroko i z naukowym podejściem pisze o różnych aspektach lwowskiej mowy, odróżnia lwowską gwara, która jest gwara regionalną, używaną przez mieszkańców Lwowa, od bałaku, gwary ulicznej – czyli gwary lwowskich batiarów. Oczywiście zamieszcza także obszerny słownik, aby ten, kto bałaku nie zna, mógł zrozumieć teksty opisujące życie lwowskiej ulicy.

Znacznie przystępniej pisze o bałaku Witold Szolginia w 4. tomie książki *Tamten Lwów – My, lwowianie*. I tu, prócz tekstów i wierszy autora, możemy przeczytać kilka interesujących słów o bałaku pióra m.in. Stanisława Wasylewskiego, Kazimierza Schleye-

na, Andrzeja Chciuka. Wszyscy oni rozkochani w bałaku! Kto chciałby jak najwięcej i najcieplej przeczytać o Lwowie, polecam ośmiotomowe wydanie pod wspólnym tytułem *Tamten Lwów*, przy czym każdy z tomów dotyczy innego aspektu tego wspaniałego, na zawsze bliskiego nam miasta (wznowienie tego tytułu zawdzięczamy Wydawnictwu Wysoki Zamek w Krakowie, a redakcją zajęli się Krzysztof Szolginia – syn Witolda i Jacek Tokarski – wydawca). Oczywiście wśród piszących o bałaku należy dodać jeszcze takich autorów, jak Jerzy Janicki, Marian Hemar, Kornel Makuszyński i in.

Wiele bałaku rozbrzmiewa także w tekstach lwowskich piosenek, a tu niewątpliwie trzeba przytoczyć *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 roku*, zebrane przez Jerzego Habelę i Zofię Kurzową (PWN, Kraków, 1989), a także *Antologię piosenki lwowskiej ulicy* w układzie Janusza Wasylkowskiego (Wrocław, OTO Kalambur, 1988). Uliczna piosenka bywa żywym odbiciem „nastroju”, folkloru, aktualnej sytuacji mieszkańców, spraw i sprawek w danym środowisku.

Wracając do książki Stanisława Domagalskiego, trudno analizować szczegóły. Istotne jest to, że autor przybliżył nam tę wspaniałą lwowską gwara, która była jedyna i niepowtarzalna. A przecież w bałaku zawiera się także wieloletnia i burzliwa historia tego miasta. Wydana publikacja jest niewątpliwie wartościowym zapisem tego, co przemija i co przeminie wraz z odejściem ostatniego batiara. Jak pisał Jerzy Janicki (*Krakidały*, 2004): *Niestety skazany jest ten nasz bałak na zagładę i tylko patrzeć, a umrze i nie zostanie po nim nawet wspomnienie*. Zatem warto potomnym opowiedzieć o bałaku, a jeśli o nim, to i o lwowskich batiarach – kim byli, jak żyli, jak się bawili...

Zakończę fragmentem wiersza *O mowa nasza...*, który znalazł się w zbiorze wierszy *Kwiaty lwowskie* autorstwa Witolda Szolginia:

*... Zaś batiar także dla lwowiaka
Jest dziś tytułem honorowym,
Dopóki z niego też „chłopaka”,
Co za cześć Miasta odda głowę,
Jego pamięci wiernie strzeże
I że doń wróci – zawsze wierzy...*

Anna Stengl

Z nocnych przygód Wielkiego Ćmaga

Sławomir Gowin

Hymn zawiany na cześć Diany

Witkowi Lafarowiczowi

Mam i taką wśród wad niezliczonych,
że się włóczę nocami po Lwowie
z całą hebrą upiorów natchnionych.
Każdy taki jak ja – nałogowiec...

Nie wspominam tu byle używek,
choć wiadomo, że flaszki się suszy.
Mam na myśli nałogi straszliwe,
najcenniejsze dla ciała i duszy.

Bo niestety mam taki organizm,
który nocą na lwowskiej ulicy
musi wchłonąć troszeczkę otchłani
i skosztować choć łyk tajemnicy.

Lwów to szarlatan i czarnoksiężnik,
nocą diabeł tu karty rozdaje.
W przepaść zamieni zwykły krawężnik,
byle bramę w szatańskie rozstaje.

Ruską kiedyś wracałem na Rynek,
aż tu trrrrach – i już stoję w bufecie!
No to – myślę – napiję się krzynę.
I za chwilę już byłem po secie.

Nagle siada koło mnie kobieta
i zalotnie unosi kieliszek:
Pan wygląda jak wielki poeta...
Odpowiadam: *No cóż, trochę piszę...*

No i szkiełko, dzyń dzyń, wychylamy,
przegryzamy suszoną makrelką,
przypuszczamy, że skądś się już znamy
i... wieńczymy spotkanie butelką.

Gawędzimy, z tematu na temat,
ona słucha, rozkosznie zawiana.
Ja jej szepczę do ucha poemat,
ona mówi: *Na imię mi Diana!*



Fot. Janusz M. Paluch

I już ciało się z ciałem rymuje!
I już dzieje się, co się ma zdarzyć!
I namiętnie mnie w usta całuje!
I zaklina: *Nie bójmy się marzyć!*

*Będziesz wielkim wybrańcem księżycu!
Będziesz równy półbogom antycznym!
Będziesz nęcił, uwodził, zachwycał!
Będziesz asem amantów lirycznych!*

I pomknęła w tym szale gdzieś boso,
w świat upity nostalgią nadraną.
Został po niej jedynie ten posąg.
No i ja, sługa muz, pod fontanną.

Stałem, patrząc, jak księżyc już blednie,
wszystko z wolna bieleje jak wódka.
W rynku życie się budzi powszednie,
noc jak zwykle na szczęście za krótka...

Odtąd słucham lwowskiego księżycu.
Jedna noc – jeden wiersz napisany.
Bo inaczej mi karę nalicza
groszem serca, rzecz jasna złamanym.

W pelerynę mnie czasem przebierze
i zagubi wśród mrocznych uliczek.
Może gdzieś Diana znów – ja w to wierzę –
pocałuje mnie. Chociaż w policzek...

PS

Tak to Lwów na mnie parol swój zagał.
Oprócz mnie cierpi na to też Witk.
Nazywamy przypadłość tę ćmagią,
na nasz własny, batiarski użytek.

I już słyszę jak trapi się Maciej:
Kiedy on coś o trzeźwych napisze?
Wybacz, Wróblu, nie umiem inaczej,
zamiast serca mam wielki kieliszek.

I strona okładki:

Na okładce fotografia Jana Sas-Zubrzyckiego (1860–1935), architekta, teoretyka sztuki i konserwatora zabytków. Urodził się w Tlustem na Podolu. Był doskonałym rysownikiem i fotografikiem. W 1919 r. został profesorem zwyczajnym Katedry Historii Architektury i Estetyki Politechniki Lwowskiej. Pierwszy w niepodległej Polsce dziekan Wydziału Architektury na tejże uczelni. W Krakowie związany był pracą z magistratem. Zaliczał się też do grona członków PAU. Autor kilkudziesięciu kościołów na obszarze dawnej Galicji Zachodniej i Wschodniej oraz ziemi kieleckiej, wywarł znaczący wpływ na architekturę sakralną swego czasu. Zmarł we Lwowie, spoczywa na cmentarzu Łyczakowskim.



Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Adam Guyrkovich

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – wiceprezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkovich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redaguje zespół:

Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny) – tel. 608 155 693, cracovialeopolis@gmail.com

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Janusz M. Paluch ZANIM WAKACYJNE LENISTWO NAS OGARNIE...	Antoni Wilgusiewicz KRESOWIANIE, POECI, ŻOŁNIERZE... BEATA OBERTYŃSKA I ZYGMUNT JAN RUMEL	49
Stanisław Dziedzic W KRĘGU „NADWIŚLAŃSKIEJ” ESTETYKI ARCHITEKTONICZNEJ	Jarosław Krasnodebski GMACH NAJSTARSZEJ INSTYTUCJI FINANSOWEJ W STANISŁAWOWIE	51
Sławomir Gowin LIRA W SŁUŻBIE AMORA	Paweł Brzegowy MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA Z OKAZJI 185. ROCZNICY URODZIN PROF. DRA BENEDYKTA DYBOWSKIEGO	54
Rozmowa Anna Stengl ROZMOWA Z PANIAMI EMILIĄ I ZOFIĄ FEDYK	Proza Karolina Lanckorońska STANISŁAWÓW (MARZEC 1942 – 7 LIPCA 1942)	55
Maria Mazur-Prokopiuk WSPOMNIENIE O WILHELMIE FELDMANIE	W Krakowie i dalej Anna Stengl KLUB „POD GRUSZKĄ”	62
Wiersze Włodzimierz Lewik LWOWSKIE RYMY	Książki ♦ czasopisma Anna Stengl TA, CO PANI POWI?...	63
Wspomnienie Wanda Heller-Dutkiewicz WSPOMNIENIE O M. HELLERZE	Z nocnych przygód Wielkiego Ćmaga Sławomir Gowin HYMN ZAWIANY NA CZEŚĆ DIANY	64
Zbigniew Wawszczak CZASY ŚWIETNOŚCI I ZAGŁADY JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ OKAZAŁYCH REZYDENCJI W ZAMKU NA ZIEMI LWOWSKIEJ		